Rok III. Lwów, 1 sierpnia 1909. Nr. 4.

Członkowie Sekcyi Turystycznej T. T. otrzymują czasopismo bezpłatnie. .. ..

TATERNIK

Prenumerata wynosi 3 K (3 M., 1 rub 50 kop.) rocznie z przesyłką. .. ..

Organ Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego

Wychodzi sześć razy do roku pod redakcyą komitetu.

Adres Redakcyi: Roman Kordys, Lwów, Lindego 10. Adres Administracyi: Mieczysław Lerski, Lwów, pl. Bernardyński 3.

Pojedyncze numery są do nabycia w cenie 50 h. we Lwowie w Księgarni Polskiej, ulica Akademicka; w Krakowie w biurze dzienników Hopcasa & Salomonowej i u J. F. Fischera, Rynek A-B; w Zakopanem w księgarni L. Zwolińskiego, Krupówki i w handlu A. Górasia, Krupówki.

Następny 5-ty numer „Taternika“ wyjdzie 1 października.



TATERNIK

Organ Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego.

Rok III. Lwów, 1 sierpnia 1909. Nr. 4.

Stefan Komornicki.

Z dziejów taternictwa polskiego.

(Szkic).

I. Na początku polskiego taternictwa stoi Seweryn Goszczyński [1]. Taternictwa właściwego oczywiście, nie wyprawiania się w góry w celach naukowych, lub w dążeniu do jakichkolwiek korzyści realnych. Badacze geologii, botaniki [2] i etnografii tatrzańskiej wyprzedzili go w zwiedzaniu głębi Tatr, nawet zdobyciem kilku potężnych szczytów [3]. Jeszcze dawniej od nich docierali do zapadłych zakątków górskich poszukiwacze skarbów [4] i „korzeniarze“, zbieracze ziół leczniczych [5]. Goszczyński przecież jest pierwszym, który odrzucając prawie cele naukowe i inne, „z małym zapasem wiedzy, z mniejszym jeszcze naukowości... nawet bez barometru“, jak sam powiada, udał się w Tatry; po to, aby szukać tam „zasiłku żywotnego dla

Otrzymawszy od p. Romana Kordysa wiele cennych wskazówek, szczególnie do zebrania materyału, wyrażam mu na tem miejscu serdeczne i szczere podziękowanie.

[1] S. Goszczyński: Dziennik podróży do Tatrów, Petersburg 1853.

[2] Stanisław Staszic: O Ziemiorodztwie Karpatów oraz innych gór i równin Polski, Warszawa 1815. — List podróżnego, który odwiedził Tatry (bezimiennie), Pamiętnik Lwowski T. I., Lwów 1816, str. 155.

[3] Staszic wyszedł na Łomnicę i Lodowy w r. 1805.

[4] Dr. J. K.: Opisanie gór Karpackich albo Tatrów, Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego, Kraków 1883. str. 1. — Michała Chrościńskiego: Opisanie ciekawe gór Tatrów, wyd. Dr. St. Eljasz Radzikowski, Pam. T. T. 1905, str. 63.

[5] Podróż Simplicissimusa węgierskiego do Tatr w XVII w., przełożył B. Szopiński, Pam. T. T. 1907, str. 36. Nie ulega wątpliwości, że i po polskiej stronie istnieli zbieracze ziół.

swojego serca". I miał zupełną świadomość, że idąc nie po korzyści realne, nie przyniesie nic tym, którzyby w jego dziele szukali czegoś poza dźwiękami „liry jego ducha"; chciał niem budzić w ludziach „czucie głębsze, wyższe" [6].

W świadomości tego tkwi znaczenie Goszczyńskiego, jako pierwszego, istotnego taternika. Cechą, która go odróżnia od poprzedników i wielu następców jest wysuwanie na pierwszy plan przeżyć duchowych; piękno świata górskiego, które w sześćdziesiąt jeszcze lat po nim wielu stara się przedstawiać objektywnie, Goszczyński bada jedynie w zwierciedle swej duszy. Nieraz zostawia je nawet na uboczu, stara się ogarnąć w o l ą, by zdobyć jednolitość wrażenia [7]. Gdy roztrząsa stan duszy na wysokościach, dochodzi do wniosku, że widok, jaki się przed nim roztacza i to poczucie, że wzniósł się na wyżynę, mają rolę podrzędną w wywołaniu stanu, w którym czuje, iż „myśli są świeże... rozległe, lotne", przy równoczesnej „szczególnej zdolności widzenia ich, schwytywania" [8]. Istotnych przyczyn tego stanu nie widzi jednak jasno; nie uświadamia sobie, że mieszkają one w nim samym i związane są w jeden łańcuch biorący początek w akcie woli, który wydał czyn: wyprawienie się w góry. Natomiast główny wpływ przypisuje jakiemuś pierwiastkowi duchowemu, działającemu jednak z zewnątrz; jest przekonany, że w górach „musi być coś, co ma związek z nadzmysłową istotą człowieka, niezależny, różny od wpływów fizycznych, a razem silniejszy... ściślejszy" [9].

Goszczyński nie zdobył prawie żadnego szczytu; nawet na Ornak, na który dążył z ogromnem napięciem woli, nie wyszedł; brakło mu, zdaje się, sił fizycznych. Marzył przecie o dostaniu się w głąb Tatr (o której ma zresztą przesadne wyobrażenie [10]), chciał się dotknąć tego „świata... różnego od wszystkiego co wiemy... zamkniętego kołem trudów i niebezpieczeństw nad wszelkie siły ludzkie, nad wszelką odwagę ludzką" [11]. Obok popędu poznawczego zatem, która nie jest cechą taternictwu tylko właściwą, występuje u Goszczyńskiego świadomie pragnienie pokonywania trudności i przeżycia rozkoszy, jakie ono daje. Jestto więc pragnienie c z y n u, pochłaniającego z jednej strony wszystkie władze fizyczne, z drugiej mającego znaczenie symboliczne: dążenie duszy do celu, który sobie sama postawiła, poza sferą życia „codziennego", a którego zdobycie ją tylko ma wzbogacić,

---

[6] S. Goszczyński l. c. str. II.

[7] ibidem str. 220. G. opisując wycieczkę na Ornak, pisze: „... Cokolwiek napotkaliśmy dotąd było pod pewnym względem ciekawe, zajmujące, często piękne, ale my spieszyliśmy do uciechy wyższej... do skupienia tych wszystkich wrażeń w jednem uczuciu ogólnem, pełnem, śpieszyliśmy na szczyt Ormaku [sic]..."

[8] ibid. str. 253.

[9] ibid. str. 252.

[10] ibid. str. 243. „... Oprócz koniecznej wprawy, potrzeba jeszcze przygotować się na mrozy... lawiny nieuniknione...", chociaż mowa o wyprawach letnich. Dalej wspomina o lodowcach.

[11] ibid. str. 53.

dając świadomość, otwierającą się na nowe, nieznane zakresy duszy. — Wszelako Goszczyński i ten popęd przypisuje duchowi „co człowieka... zawsze na szczyty pędzi“ [12]. Najwybitniej występują wszystkie cechy Goszczyńskiego w opisie przeprawy z Pięciu Stawów do Morskiego Oka przez Świstówkę [13]. Objawia się samodzielność w tem, że nie chce przyjąć pomocy i wysuwa się ciągle na przód pochodu; cieszy go uznanie górali, którzy widząc to podnosili jego „śmiałość i zręczność“. — Pokonywanie trudności i niebezpieczeństwo sprawiają mu rozkosz; i oto dowód, że nie jestto rys współczesnego wyłącznie taternictwa, „bezrozumnie uganiającego się za niebezpieczeństwami“, ale rys pierwotny człowieka, nazwany przez Pawlikowskiego pociągiem do bohaterstwa. Goszczyński odczuwa tę rozkosz zupełnie żywiołowo, nie podnosząc wielokrotnie w ostatnich czasach roztrząsanego zbawiennego wpływu niebezpieczeństwa na umysł.

Świadomość przeżyć u Goszczyńskiego ma ogromną wagę: sam fakt, że ktoś w tych czasach w Polsce tyle do nich przywiązywał i światowi górskiemu, nieznanemu dotąd prawie, tak potężną władzę nad duszą ludzką przypisywał, wskazuje jakiś zwrot w kierunku życia duchowego Polski. Dokonywał się on wtedy, rozszerzał w coraz dalszych kręgach; był to romantyzm. Jeśli przyroda grała w jego utworach tak znaczną rolę, musiały tembardziej nabrać znaczenia góry, które są niejako personifikacyą wszystkich jej sił, syntezą tego wszystkiego, co w przyrodzie najbardziej pociąga. Początkowo są dla Polski Alpy symbolem wspaniałości świata górskiego; przyczyną tego zapewne większa ich dostępność i sława jaką już zdawna miały na Zachodzie. Tatry nieznane prawie ogółowi polskiemu, otoczone jeszcze dla wielu nieprzebytemi zaporami, przytem na małej tylko przestrzeni umacniające granicę, nie mogły być dla nas tem, czem Alpy dla Szwajcaryi np., gdzie tworzą rdzeń kraju i zmuszają człowieka do ciągłego zetknięcia z sobą. — Romantycy polscy, przebywający na emigracyi w Szwajcaryi, odczuli potęgę Alp w działaniu ich na duszę, a znaczenie to na ogromną podnieśli wyżynę. Wszak Słowacki stawia Kordyana na szczycie Mont Blanc w chwili najpotężniejszego napięcia władz jego ducha; pod wpływem Alp tworzy przecudny poemat „W Szwajcaryi“. Jeden z pierwszych romantyków polskich Antoni Malczewski, był nawet wybitnym alpinistą; w r. 1818 wyszedł na Mont Blanc, uważany wówczas za wyprawę niesłychanie śmiałą. Opisał ją w genewskiej „Bibliothéque universelle“, jako mającą znaczenie naukowe, na życzenie prof. M. A. Pictela [14]. Stojąc na szczycie Mont Blanc „mniema się być świadkiem stworzenia rzeczy, kiedy wszystko, cokolwiek ma cechę człowieka, znika...“ i przeciwstawia to potężne wrażenie, „świeżości drzew i dolin, ślicznym zakrętom jeziora“, które jedynie „mogą przyjemnie zachwycać oczy

---

12 Dr. J. G. Pawlikowski: Podziemne Kościeliska, Pam. T. T. 1887, str. 40. w przypisku: wspomnienia Macieja Sieczki o Goszczyńskim.

13 S. Goszczyński l. c. str. 211.

14 S T E R: Pierwszy alpinista polski, Przegląd Zakopiański 1903, str. *222* i 232.

i umysł". Wzbija go też w dumę powodzenie wyprawy. — Romantyzm zatem otwiera oczy polskie na znaczenie gór dla duszy. Goszczyński, romantyk, odnajduje je w jedynych polskich wysokich górach skalistych i kreśli swoje wśród nich przeżycia.

II. Goszczyński poznał Tatry w r. 1832.; dziennik tej podróży wydał w wiele lat później (1853). Czy to wskutek tego opóźnienia, czy dlatego, że padły na zobojętniały grunt, nie znalazły myśli w nim zawarte żadnego prawie oddźwięku w duszach współczesnych. W najbliższym „Dziennikowi" datą opisie Maryi Steczkowskiej: „Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin" (1858), spotykamy dość oschły objektywizm, biorący górę nad rozpatrywaniem przeżyć. Uczucia owładające nią na szczycie uświadamia sobie już tylko jako nastroje; jest jej „lekko, swobodnie i uroczyście". Nie uważa ich wcale za wywołane dokonaniem wyjścia na szczyt: „to łaska udzielona nam od Boga, aby nas pokrzepić... w trudnej „życia pielgrzymce" [15]. W każdym razie uznaje, że góry są tu pośrednikami między człowiekiem a Bogiem. Gdy u Goszczyńskiego stany duszy stopniując się dochodzą do ekstazy prawie, gdy „postrzega, że jest w obliczu nieba... w modlitwie" [16], widzimy ciągle, że jestto wynik świadomego wewnętrznego procesu. Dla Steczkowskiej uczucie religijne pochodzi z zewnątrz, uczucia swobody, lekkości uważane są za coś danego jej niezależnie od niej (łaska).

Ta aprioryczność i powierzchowność w ocenianiu stanów wewnętrznych sprzęga się też z zupełną jednostronnością w uświadamianiu sobie celu zwiedzania gór. Jedynem pragnieniem — wydostanie się na punkt, z któregoby się piękny roztaczał widok. Pisząc, by zachęcić kobiety polskie do zwiedzania Tatr, tłómaczy jednak niedorzeczność pragnienia „próżnej sławy" zdobycia takich szczytów jak Łomnica, bo zwiedzenie łatwo dostępnych szczytów „Czerwonego Wierchu, Kondratowy, Pyszny... zostawi... teżsame prawie wrażenia, jakich na tamtych [trudnych] doświadczyć można" [17]. Steczkowska cofa się z pod samego szczytu Krywania widząc go zasłoniętym przez mgłę, nie dlatego, że dalszy pochód mógłby być niebezpiecznym, ale że „wdzieranie się dalej... bez żadnej nadziei widoku i jedynie dlatego, żeby powiedzieć, że byliśmy na szczycie Krywania, byłoby nierozsądkiem" [18]. Ogarnia ją z tego powodu smutek, ale brzmi w nim jedna tylko struna: zawiedziona nadzieja ujrzenia widoku ze szczytu. Brak zatem u Steczkowskiej zupełny nawet niejasnego odczucia tego, co nazywamy „wolą do czynu" [19]. Ograniczenie się do tych tylko szczytów, które nie dają „próżnej

---

[15] Marya Steczkowska: Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin, Kraków 1858, str. 139.

[16] S. Goszczyński l. c. str. 253.

[17] M. Steczkowska l. c. str. 7 i 8.

[18] ibid. str. 150. S. „zazdrości szczerze tym, co tak wygodnie i łatwo dostają się" do źródełka pod Krywaniem powyżej Przechyby, jadąc od strony węgierskiej konno.

[19] H. Steinitzer: Zur Psychologie des Alpinisten, Graphologische Monatshefte, München 1907, zesz. 9—11. i 1908, zesz. 3—4.

sławy", mogło jedynie powstrzymać rozwój taternictwa. Steczkowska jest przecie typem dosyć powszechnym; jeśli się zważy, że rozwój może iść tylko po szczeblach rozszerzającego się zakresu świadomości i że ona tylko jest wstanie dawać podniety do nowych celowych czynów, nie mógł typ ten dać taternictwu szerokich podstaw postępu. — „Obrazki" Steczkowskiej mają znaczenie historyczne; zaznacza ona, że brak wygód i trudności przedostania się pod stopy Tatr, są przyczyną małej liczby zwiedzających; mimo to fala ich z roku na rok wzrasta i kieruje się nawet w znacznej mierze ku potężnym szczytom, nie odstraszają jej trudy. „Obrazki", zwalczające wiele przesądów o niewygodach i przykrościach pod Tatrami, musiały jednak w znacznej mierze zachęcić ogół do udawania się w Tatry i tem przynajmniej przygotowały grunt pod rozwój nowych pierwiastków w taternictwie. Spełniały poniekąd zadanie przewodnika, podobnie jak nieco później wydane, bardzo ogólne i niedokładne „Przewodniki" Prof. E. Janoty (1860) i X. A. W. Sutora (1878).

III. Zakopane i Tatry otwarły się jednak naprawdę szeroko dopiero za sprawą Tytusa Chałubińskiego. Odkrywszy tam wszelkie warunki dla uzdrowiska klimatycznego, pociągnął za sobą liczne rzesze chorych i zdrowych. Począł odbywać tłumne wyprawy w góry, w których brało udział wielu jego znajomych a jeszcze więcej górali. Charakter tych wypraw przebija z opisu, jedynego jaki Chałubiński pozostawił, pełnego werwy i dowcipu [20]. — Grają u niego nader już liczne struny duszy, pobudzone wyprawami górskiemi: pragnienie czynu, cała skala uczuć, od rozkoszy w przeprowadzaniu zamiaru i podziwianiu przyrody — do trwogi, odczutej jako jeden z bodźców. Brak tylko świadomego dążenia do samodzielności; tłumność jego wypraw zdaje się wykazywać, że nie wyobrażał sobie możności chodzenia bez pomocy górali. Najchętniej chodził „bez programu", jak sam powiada „legalizując nibyto w imię nauki [botaniki] każdą wyprawę na wirchy" [21]. Kierunek jej był zależny jużto od pogody, już od nagle nasuwającego się pomysłu; dążyło się więc drogami nowemi, przedewszystkiem dlatego, że znanych było bardzo mało, a potem — „tyle się już razy niemi chodziło" [22]. Ten drugi motyw, znudzenie przebytą już raz drogą jest również oznaką nieświadomej jeszcze woli do czynu. Jak wielkie było jej napięcie u Chałubińskiego dowodzi ilość tych nowych przejść i to takich, o których przedtem nikomu się nie śniło.

Wielką ilość górali zabierał dlatego, aby mu było „weselej" [23], prócz tego dla wygody i posługi w czasie wyprawy. Względy te oczywiście obniżały i usypiały samodzielność; z drugiej strony wytworzył się wskutek tego cały zastęp przewodników, którzy znali dokładnie Tatry i sposób wycieczkowania. Wzbudzając nieograniczoną ufność w „gościach" potrafili za-

[20] ...ł...: Sześć dni w Tatrach, Pam. T. T. 1879. str. 47.
[21] ibid. str. 55.
[22] ibid. str. 67.
[23] ibid. str. 47.

chęcić ich do wypraw. „Goście“ sami nie wyobrażali sobie wycieczki bez opieki górali, także z innych jak Chałubiński względów; uważaliby ją za szaleństwo. I rzeczywiście byłoby tak wówczas, jeśli się zważy, że olbrzymia część tych ludzi pragnęła się na szczyt wydostać jedynie „dla widoku“ i na szczegóły drogi i otoczenia mało zwracała uwagi; wynikiem tego był brak wyrobienia zmysłu orjentacyjnego, bez pomocy górala-przewodnika nie potrafiliby się byli w górach obrócić, a cóż dopiero ważyć się na drogę nieznaną. — W wyszkoleniu zatem przewodników tkwi jedna część znaczenia Chałubińskiego dla rozwoju taternictwa. Druga, ważniejsza, to wytworzenie „stylu“ taternickiego. Stanowisko „króla tatrzańskiego“, jak nazywano Chałubińskiego w Zakopanem i jego legendarna znajomość gór, wytwarzały przekonanie, że jego tylko sposób wycieczkowania jest właściwy. Szczęściem nie brano tego zbyt dosłownie, nie naśladowano powierzchownych cech, więc np. konieczności muzyki na wycieczce. Przenikała zato w ogół jego miłość do gór, płynąca z większego do nich zbliżenia, odwaga, burząca wiele przesądów o niesłychanych trudach, wreszcie rozszerzenie zakresu wypraw, ograniczonego dotąd do ustawicznego powtarzania dróg, mających ustaloną sławę.

Obok Chałubińskiego dość wielkie znaczenie miał X. Józef Stolarczyk, proboszcz zakopiański, jeszcze w latach 1840—50 osiadły pod Tatrami. Odbywał wyprawy w góry i pierwszy z Polaków stanął na Garłuchu w r. 1867. Motywem jego czynów taternickich, który sobie uświadomił, było „dorzucenie drobnej cegiełki do umiejętnych badań tatrzańskich“ [24]. Oczywiście nie były to badania botaniczne lub hypsometryczne. Zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, że wyprawy jego pociągną innych do powtarzania, że przez nie wykształci przewodników i usunie przesądną obawę przed niesłychanemi trudnościami wypraw skalnych. Zauważyć można u Stolarczyka pragnienie uznania, pochodną woli do czynu: sprawia mu przykrość niedowierzanie Déchy'ego co do dokonanego wyjścia na Garłuch, a jednym z głównych motywów powtórzenia pierwszej nieudanej nań wyprawy, było podrażnienie politowaniem okazywanem mu przez Węgrów na wieść o niepowodzeniu [25]. Cieszy go niezmiernie, „że mimo doznanych zawad i trudów pierwszy utorował drogę dla następnych turystów“. Projekty Stolarczyka wyjścia na Garłuch od Polskiego Grzebienia dowodzą, że i jego, podobnie jak Chałubińskiego, niebezpieczeństwo i trud nie powstrzymywały, ale były raczej podnietą do wyprawy.

IV. Wskutek coraz większego wzrostu liczby ludzi udających się w Tatry, poczęły wydobywać się na wierzch problemy, domagające się rozwiązania. Trudności materyalne związane z dostaniem się pod Tatry i z pobytem wśród nich, brak udogodnień w głębi gór, wreszcie chęć przeprowadzenia umiejętnych badań nad przyrodą tatrzańską, było to zadanie dające się rozwiązać tylko przez działanie zbiorowe. Projekt Feliksa Pławickiego

---

[24] X. Józef Stolarczyk: Wycieczka na szczyt Gierlachu, Pam. T. T. 1876, str. 66. Czas, z d. 14—16. X. 1875.

[25] ibid. str. 67.

rzucony dnia 3. sierpnia 1873 r.[26], by założyć towarzystwo, któreby mogło przeprowadzić akcyę w tych kierunkach, został wprowadzony w czyn. Towarzystwo Tatrzańskie nie było jednak klubem taternickim; miało do spełnienia zadania należące właściwie do innych czynników; najwymowniej świadczą o tem roczne zestawienia rachunków[27].

Dla taternictwa najważniejszem jest wydawanie przez Towarzystwo „Pamiętnika", w którego pierwszym tomie już napotykamy opis ks. Stolarczyka a także recenzyę Wł. Koziebrodzkiego z I. tomu publikacyi Club Alpin Francais[28]. Pamiętnik obejmował jednak wszystko co się do Karpat wogóle odnosiło, umieszczał artykuły przyrodnicze, etnograficzne, słowem prace, czerpiące ze świata górskiego, jako nowego źródła materyałów naukowych. Tym charakterem zbliża się zresztą do wszystkich publikacyi wydawanych przez pokrewne towarzystwa zagraniczne, powstałe w okresie lat 1857 do 1875 i obejmujące całą Europę zachodnią.

V. Publikacye są jednym z głównych warunków rozwoju nowoczesnej turystyki górskiej, rozwoju przedewszystkiem ilościowego, jedna wyprawa opisana, rodzi olbrzymią nieraz liczbę naśladowców. Wśród nich znajdzie się parę indywiduów twórczych, którym powtarzanie rzeczy dokonanych nie wystarcza, a poznanie nowej dziedziny (dzięki opisowi) popycha do czynu. W ten sposób publikacya przyczynia się do jakościowego rozwoju. — Celem wydawnictwa Pamiętnika według słów „Przemowy" do I. tomu było „zwrócenie wzroku duszy na widoki przyrody górskiej"[29]. Zdanie to, jakkolwiek jednostronne, oznacza jednak skierowanie na przeżycia uwagi, uśpionej po czasach Goszczyńskiego; zatem i zmianę kierunku rozumowego w taternictwie, którym było w istocie zwiedzanie gór „dla widoku" wyłącznie. We wszystkich opisach ówczesnych pojawia się znowu świadomość „pędu na wirchy", którego czynniki są wielorakie i rozmaicie pojmowane. Celowa jednostronność ustępowała więc miejsca odczuciu bogactwa przeżyć; tęsknota do gór zjawiała się w nowem oświetleniu. Było ono już zdolne dać podnietę do istotnie twórczego czynu, mimo to nie ukazywał się on jeszcze w pełni, brakło samodzielności. Przeprowadzenie a niejednokrotnie i inicyatywę wyprawy składano wraz z bezpieczeństwem swej osoby w ręce doświadczonego przewodnika-górala; był on nierozdzielnie prawie związany z pojęciem wycieczki i uzdolnienie jego decydowało o powo-

---

[26] Sprawozdanie z czynności T. T. od 3. VIII. 1873 — 28. V. 1876. Pam. T. T. 1876, str. 21.

[27] W pierwszych tomach Pamiętnika, w rocznych zestawieniach rachunków znajdujemy np. wydatki na „oświetlenie wsi". Dom Towarzystwa był punktem zbornym, kasynem, także dla ludzi, którzy nic wspólnego z taternictwem nie mieli; do ostatnich dni było jedyną władzą czuwającą nad przewodnictwem.

[28] Pam. T. T. 1876. Z recenzyi tej widać, że Wł. Koziebrodzki był wybitnym alpinistą, znał Matterhorn, Jungfrau „z własnego doświadczenia". Dla rozbudzenia ruchu taternickiego doradza T. T. urządzanie wycieczek młodzieży, na wzór francuskich *„caravanes scolaires"*.

[29] Pam. T. T. 1876. Zacytowane słowa W. Pola.

dzeniu. Stwierdzają to aż nadto dobitnie zdania takie jak: „kto chce widzieć najdziksze skały Tatr i wrócić szczęśliwie, niech bierze Sieczkę [Macieja]“ [30]; lub: „mając takiego towarzysza jak Szymek Tatar (stryj), Wojciech Roj... można być zupełnie spokojnym o swoje losy“ [31]. Ta zupełna zależność od przewodników, zrzucanie na ich barki całej technicznej strony wyprawy, objawia się u większej części ludzi, uważanych za wybitnych taterników; świadczy, że ufność we własne siły była mała, wśród wielu wypraw górskich nie umiano zdobyć takiego doświadczenia, któreby ją podnieść mogło aż do wydania samodzielności. Utrzymywała się ciągle obawa przed czemś nieznanem, płynąca z braku zżycia się z górami u ludzi przybyłych z miast.

Do wybitniejszych ówczesnych taterników zaliczali się trzej towarzysze Chałubińskiego: Walery Eljasz, Leopold Świerz i Bronisław Rejchman; pozostawili oni dość znaczną ilość opisów. Prócz nich był jeszcze cały szereg ludzi, tworzących jakby świtę Chałubińskiego, których tylko nazwiska trwają w pamięci. — Dla Walerego Eljasza przezwyciężanie trudności jest rozkoszą, uważa je za „namiętność szlachetną“, zatem świadomie już, zgodnie z wolą idzie u niego uczucie przed rozumem. Na szczycie czuje się nietylko fizycznie wyniesionym nad ziemię; wyjście ma głębsze jeszcze znaczenie dla duszy, daje poczucie wyniesienia nad wszystko co małe i nizkie w człowieku; to „upojenie ducha“, życie na szczytach „życiem nadziemskiem“ jest źródłem ciągłej tęsknoty do gór i pociągu do wypraw [32]. Widzi całe bogactwo duszy, odkrywa w niej budzące się „uczucia kiedyindziej śpiące“. Rozkosze te zamąca mu jedynie trwoga „w razie napadu nieprzyjaźnych żywiołów“, lub myśl o niebezpiecznym powrocie [33]. — Zato jest trwoga bodźcem do pokonywania trudności, których w zwykłych warunkach człowiek przezwyciężyćby nie potrafił; albowiem „brak czasu do zastanawiania się nad niebezpieczeństwem“ podnosi w nim odwagę [34]. — U Leopolda Świerza objawia się silniej popęd poznawczy; pociągają go szczyty, na których „oprócz kozicy i orła nikt dotąd nie był“, chęć zawładnięcia nad ich dziewiczością. Wielką podnietą jest niebezpieczeństwo: „im wycieczka niebezpieczniejsza, tem bardziej nęci“ [35]. Radość sprawia mu pokonanie trudności podobnie jak u Eljasza, i ona to jest właściwą przyczyną, dla której go niebezpieczeństwo pociąga; raczej więc chwila, w której czuje, że ono już przeminęło; wahanie się uczuć przykrych i uczucia rozkoszy czyni to ostatnie tem wyrazistszem. Współzawodnictwo i żądza uznania grają znaczną rolę u Bronisława Rejch-

---

[30] W. L. Anczyc: Wspomnienie z Tatr, Pam. T. T. 1878, st. 100.

[31] A. Wrześniowski: Tatry i Podhalanie, Pam. T. T. 1882, str. 31. — Ateneum, Warszawa 1881, T. III. z. 1—2.

[32] Walery Eljasz: Wycieczka na Rysy w Tatrach, Kłosy, Warszawa 1880, str. 51.

[33] tenże: Wspomnienie z pośród turni tatrzańskich, Pam. T. T. 1888, str. 22. „... Odwrót bezpieczny, dobrze z wierzchołka Krywania widoczny, nie mącił nam spokoju“.

[34] Kłosy l. c. str. 86.

[35] L. Świerz: Wycieczka na Wysoką, Pam. T. T. 1877, str. 92.

mana. Cieszy go zaproszenie Chałubińskiego do wyprawy przez Przełęcz Mięguszowiecką, którą uważa początkowo za „szalony projekt", bo świadczy o „dobrej opinii" o nim, jako taterniku, o jego „talencie turystowskim" [36]. Przyroda górska zabija w nim chwilowo świadomość i czyni go „biernem narzędziem". Stan ten po jakimś czasie ustępuje, poczyna rozważać; widzi w skalistych górach martwotę i przeciwstawia je dolinom „gdzie życie wszystkie swe czary roztacza". Na szczyty pędzi go głód wrażeń, chce im się tam w całej pełni oddać. Odzywa się też niekiedy u Rejchmana rozumowe ujęcie taternictwa: zbytnie trudy i niewygody znosi z przykrością, poddaje się im jednak, bo są przemijające, a przez nie „ciało i duch tężeją" [37].

VI. Taki był stan taternictwa, stworzony przez Chałubińskiego, a zależny od rozwiniętego pod jego wpływem przewodnictwa. Utrzymywał się wśród ogółu długo i po śmierci Chałubińskiego, niektóre idee przetrwały do ostatnich czasów. Taternictwo ówczesne (1865–1880) nosi mimo wszystko charakter, któryby można nazwać dyletanckim, wskutek braku samodzielności. — Każdy czyn ludzki może mieć istotną wartość dla duszy tylko wtedy, jeśli jest przeprowadzony samodzielnie; jedynie wtedy staje się wyłączną jej własnością. Proces jest taki: inicyatywa, wykonanie czynu i przeżycie wszystkich jego stadyów; dopiero świadomość tego procesu oddaje czyn w posiadanie duszy, wzbogaca ją. Jasne jest przeto, że inicyatywa tylko, chociażby samodzielna, jeśli nie idzie za nią samodzielne przeprowadzenie czynu, nie wystarcza; wartość takiego czynu obniża się. Skoro więc taternicy ówcześni niekiedy tylko dając inicyatywę, przeprowadzenie wypraw składali w ręce przewodników, może być mowa o szukaniu wrażeń w dziedzinie czegoś, co uważano za prawie niepoznawalne a odczuwano nawet niekiedy jako „curiosum" (świat górski); nie może być mowy o świadomym popędzie do czynu. (Dok. nast.)

Zimowa wycieczka.

W piątek 3. kwietnia stanęliśmy t. j. J. Maślanka i podpisany na dworcu w Popradzie. Dostaliśmy się tu po 20-godzinnej jeździe wprost ze Lwowa przez Tarnów i Orłów. Mimo tak długiej podróży koleją jest to najlepszy dostęp dla turysty, który pragnie robić zimowe wycieczki po południowej stronie Tatr a nie rozporządza wielkim zapasem wolnego czasu. Aby bowiem przedostać się tu z Zakopanego potrzeba $1^1/_2$ do 2 dni marszu, co przy ciężkich bardzo workach jakie się w zimie, zwłaszcza na początku wycieczki, musi dźwigać, jest stratą sił i czasu. Ponadto drogi wiodące z jednej strony Tatr na drugą są tylko przy odpowiednich warunkach możliwe do przebycia na nartach. Dlatego postanowiliśmy tym razem, z pominięciem Zakopanego dostać się wprost na Spiż i ulokowawszy się na kilka dni w jednem ze schronisk tamtejszych zwiedzić parę okolicznych szczytów, poczem mieliśmy przejść na północną stronę i wrócić przez Zakopane.

[36] B. Rejchman: Wycieczka do Morskiego Oka przez przełęcz Mięguszowiecką; Ateneum, Warszawa 1877, t. IV. str. 471.
[37] ibid. str. 530.

Gdyśmy wyszedłszy z dworca w Popradzie, wsiadali do fiakra, który nas miał zawieść do Sławkowa, dął zimny wicher północny, tak żeśmy musieli wyciągnąć nasze batystowe odzienie. Zachmurzone niebo pruszyło od czasu do czasu śniegiem. Śliczna pogoda! Co to będzie dopiero w górze. Tak rozmyślając i poszczękując od czasu do czasu zębami (długa podróż w zbytnio ogrzanym wagonie pozbawiła nas odporności na zimno) dojechaliśmy w $^{3}/_{4}$ godz. do Sławkowa gdzie mieliśmy znaleść dzierżawcę schroniska Śląskiego, Greisigera i dostać od niego klucze. Okazało się jednak po przybyciu, że schronisko objął od nowego roku p. Weszter, właściciel rozległych lasów i stacyi klimatycznej Westerowa, do niego więc udaliśmy się z kolei mimo spóźnionej pory. Przyjęci gościnnie wyłuszczyliśmy nasze zamiary i w godzinę potem udaliśmy się w dalszą drogę, zaopatrzeni w polecenie do dyrektora zakładu w Westerowie, u którego znajdowały się klucze od schroniska. Późno już było gdyśmy zajechali do Nowego Szmeksu (w Starym nie można było dostać noclegu) i dobudziwszy się z trudem po kwadransowem dzwonieniu służby w hotelu „Europe", spoczęli po 24-godzinnej podróży.

Na drugi dzień rano skonstatowaliśmy z zadowoleniem, że wicher prawie ustał i że się robi pogoda. Ruszamy więc do Westerowa z pośpiechem na jaki nam pozwalał ciężar naszych worków i nart, które trzeba było nieść, gdyż śnieg drogę miejscami tylko pokrywał. Przybywszy na miejsce dowiadujemy się ku naszemu zmartwieniu, że dyrektor wyjechał i wróci dopiero najwcześniej popołudniu. Nie chcąc tak długo siedzieć bezczynnie obmyśliliśmy plan, jak się pokazało, bardzo praktyczny. Zostawiwszy mianowicie część rzeczy na dole, z lżejszymi znacznie workami udaliśmy się do schroniska. Z początku szliśmy torem saneczkowym, w który zamieniona została niższa część drogi jezdnej. Jak nam bowiem opowiadano, bawiła przez całą zimę w Westerowie i Nowym Szmeksie około setka gości, którzy oddawali się saneczkarstwu. Odchodziły zwłaszcza bobsleighi. Śnieg w lesie wkrótce się zaczął, był jednak tak twardy, że nie opłaciło się nart zakładać. W miarę jak wznosiliśmy się w górę rozchodziły się chmury, a gdy po $2^{1}/_{2}$ godzinach stanęliśmy przy schronisku, niebo było zupełnie pogodne, dął tylko lekki wiatr dość ciepły, choć pozornie z północnego wschodu przychodził. Po krótkim spoczynku obeszliśmy schronisko przekonując się, że wszystko jest w porządku oprócz kilku szyb w werandzie, wygniecionych przez wichry. Przez jedną z nich powkładaliśmy nasze mienie i z lekkiem sercem i takiemiż workami zbiegliśmy — bez nart już — do Westerowa, gdzie doczekaliśmy się wreszcie zbawienia w osobie dyrektora p. Schillera. Razem z nim przybyła znana turystka węgierska pna T. Egenhoffer, która właśnie wracała z północnej Norwegii, gdzie się oddawała narciarstwu. Wnet zawiązała się żywa rozmowa na temat zalet i wad szkoły norweskiej, niestety spiesząc z powrotem w górę musieliśmy ją wkrótce zakończyć. Pobrzękując cennymi kluczami, które miały nam otworzyć wrota schroniska, podążyliśmy do naszej górnej siedziby. Przedtem uzupełniliśmy zapasy przygotowując się na kilkudniowy pobyt. Tym razem droga nie była tak wygodna, śnieg bowiem rozmiękł przez dzień i zapadał się nieco. Gdyśmy o zmroku stanęli przed schroniskiem, nie mogliśmy się oprzeć uczuciu zadowolenia, że nareszcie mamy poza sobą wszystkie przygotowania i wstępy, że odtąd przez dni kilka będziemy mieć do czynienia tylko z górami.

Na drugi dzień — był to poniedziałek — powitała nas wspaniała pogoda, wróżąc pomyślny wynik naszym zamiarom. Właśnie gdyśmy opuszczali schronisko, wschodziło słońce nad Spiżem, ciemnym jeszcze i pokrytym warstwą lekkich chmurek. Po drugiej stronie jaśniały śnieżne garby Niżnich

Tatr. Naciągnąwszy foki trawersowaliśmy na nartach po oszrenionym śniegu popod Kocioł. Zabrało nam to sporo czasu i dość dokuczyło. Pod koniec zwłaszcza zaszedłszy kilkadziesiąt metrów za wysoko natrafiliśmy na strome płyty i spaszty ogołocone ze śniegu. Trzeba było zdjąć narty a i w butach nie szło się najlepiej. Około 8-mej stanęliśmy przy Stawie Batyżowieckim. Przedstawił on się jako śnieżyste pólko wklęsłe nieco, z którego gdzieniegdzie wysterczały zielonawe bryły lodu, podniesione przez podwodne głazy, gdy w ciągu zimy powierzchnia stawu opadła. Przed nami widniał śnieżny mur Batyżowieckiej Grani. Mimo całego uroku nowości jaki miał dla nas ten widok musieliśmy po namyśle przyznać, że przecież jest tu piękniej w lecie gdy zwierciadło jeziora odbija okoliczne szczyty i błękit nieba. Wtedy, miejsce to ma mało równych sobie, nawet w Tatrach.

Śnieg był twardy, zostawiliśmy więc narty przy stawie i wziąwszy się nieco w lewo dotarliśmy na wyższe piętro pod stopy Kościółka. Tu zawdzialiśmy raczki i przechodząc w ukos po jego zachodniej ścianie stromym śnieżnym stokiem, wydostaliśmy się odrazu na siodło, które łączy tę ciekawą turnię z posadem Batyżowieckiego Szczytu. Dalsza droga miała nas powieść stromym żlebem ku siodłu w grani głównej. Śnieg stary był w doskonałym stanie, młodego leżało tu niewiele, tak że nie było obawy lawin. Mniej więcej do połowy wysokości szło się też wcale wygodnie, lecz wyżej było coraz stromiej, co gorzej — pod spodem wyzierał miejscami lód, gdzieindziej oblodzone trawki i płyty. Stopni nie było po co rąbać, gdyż zasypywał je zaraz śnieg, którego niepodobna było uprzątnąć, całe więc oparcie spoczywało na raczkach W najtrudniejszem miejscu zmuszeni byliśmy przejść na małą grzędę po prawej stronie, której ściany, choć kruche, dały nam rękojmię większego bezpieczeństwa.

Gdy po pół godzinie osiągnęliśmy grań, otworzył się przed nami wspaniały widok na polską stronę. Dolina Białej Wody i turnie okoliczne, całe ośnieżone tonęły w cieniu, tylko gdzieniegdzie przez przełęcze wdzierały się snopy światła. Tworzyło to gwałtowny kontrast ze słoneczną południową stroną, z której przybywaliśmy. Najwięcej jednak przyciągała naszą uwagę wschodnia grań Batyżowieckiego, z którą mieliśmy się niedługo zmierzyć. Wyglądała stąd imponująco i nie do zdobycia. Nas jednak doświadczenie nauczyło, że granie tatrzańskie często takie groźne mają oblicze, jakby chciały odstraszyć niepowołanych; odważnym jednak, którzy się nie ulękną tego widoku chętnie otwierają szranki. Ruszyliśmy więc do ataku. Z początku posunęliśmy się kilkanaście metrów samą granią. poczem zbaczamy w lewo, gdzie wiedzie w górę rodzaj szerokiego żlebu poprzerywanego piętrami. Tutaj napotkaliśmy znaczne trudności, w dodatku mając wszystkiego 15 metrów liny nie wszędzie mogliśmy się nawzajem ubezpieczać. Posuwaliśmy się więc bardzo ostrożnie i powoli. Po półgodzinie takiego wspinania się wychodzimy na strome śnieżne pólko, z którego wiedzie w prawo na grań śnieżna płyta. Przechodzimy ją bez wielkiego trudu z pomocą wygodnych pęknięć. Teraz zanurzamy się w cień posuwając się po stronie Kaczej Doliny. Podczas gdy towarzysz mój wspina się, zajmuję posterunek za głazem odstającym od ściany i tworzącym rodzaj małej ambony. Z tego miejsca po raz pierwszy widzę wspaniałą postać Wysokiej, którą dotychczas zakrywała przed nami grań Batyżowieckiego. Podemną straszne krzesanice północnej ściany tego szczytu ubielone śniegiem. Wprost niepodobna zrozumieć, jak się on może na tych stromych płytach utrzymać.

Jeszcze kilka trudnych oblodzonych i śniegiem zasypanych stopni i stajemy w blasku słonecznym na szczycie.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Nad nami niebo bez chmurki, wokół bajeczny świat tatrzańskich turni w szaty godowe przybranych. Szczyt koło szczytu, grań koło grani otoczyły nas wieńcem. W promieniach południowego słońca wszystko świeci, błyszczy się, skrzy i migoce, blask i jasność zalewa świat cały.

Umilkło wszystko, ucichł nawet huk lawin i echa spadających kamieni.

Mimowoli ma się uczucie, że to jakieś wielkie święto, taka cicha radość, taki majestat wszędzie.

I zaprawdę jest to święto — takich rzeczy nie danem jest człowiekowi oglądać w dzień powszedni. Bo w dzień powszedni człowiek pracuje, aby miał co jeść.

Ale są lilie polne, są ptacy niebiescy, są turnie tatrzańskie, które wieczność codzień oglądają, a choć nie orzą ani nie sieją, jednak trwają. Trwają dłużej niż ludzie, co tam w dolinach wydzierają sobie nawzajem kawałek chleba powszedniego, aby mieli co jeść, oni i ich dzieci. I nieraz w pogoni za chlebem powszednim przez życie całe nie znają święta. Bo ludzie „zanadto troszczą się".

Niewielu jest takich, co rzuciwszy zajęcia i obowiązki, wygody i przyjemności życia powszedniego, zapragną choćby przez krótką chwilę pić blaski słoneczne, wchłaniać wieczne piękno i żyć pełnią swej istoty.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Schodzimy tym samym śladem, napotykając aż do siodła w grani trudności podobne i nie większe, niż przy wchodzeniu. Od przełęczy żleb z początku dobry, lecz potem jest źle. Śnieg rozmiękły od słońca jeszcze mniej daje oparcia niż rano. Raczki ślizgają się po oblodzonych płytach. Bierzemy się znowu na grzędę w lewo i rodzajem kominka, równoległego do żlebu, mijamy najgorsze miejsca. Dalej już lepiej. Pod koniec zdejmujemy raki i biegniemy cwałem, gdyż zjeżdżać się nieda. Brnąc miejscami — na szczęście tylko po kolana — w zaspach młodego śniegu stajemy około 5-tej przy stawie.

Właśnie ostatnie promienie słońca czerwieniły czuby grani. Wdziewamy narty, aby zboczem Gierlacha dostać się do schroniska. Zjazdu niewiele, zato dużo męczącego zacinania, dochodzimy też do wniosku, że lepiej było narty zostawić, jeżeli nie we Lwowie, to w każdym razie w schronisku.

Nazajutrz znowu wspaniały poranek. Po krótkiej naradzie postanawiamy zwiedzić grań Granatów Wielickich od Kopy (po niem. Flecht) począwszy. Opada ona ku Wielkiej Dolinie stromemi ścianami, w których trzy wyróżniają się części. Środkowa z nich wznosząca się nad częścią doliny od Mokrej Wanty do Suchej Kopy, czyli tak zwanym Ogrodem poryta jest głębokimi wąwozami u dołu zwyżającymi się w kominy, u góry zaś przechodzącymi w olbrzymie lejkowate kotły, z których dna wznosi się główna grań stromemi ścianami. Jednym z tych wąwozów wiedzie zwykła droga na Staroleśną, inne o ile mi wiadomo nie są zwiedzone. Skrzydło południowe ściany nie jest tak głęboko rzeźbione. Wiedzie niem zato od prawej ku lewej w ukos, w górę, wygodny zapał w lecie trawiasty, teraz pokryty śniegiem. Weszliśmy nań krótkim żlebem nieco na południe od starego schroniska. Po twardym śniegu szło się szybko i w pół godziny stanęliśmy u końca zapału w miejscu, gdzie wychodzi na boczną grań. Oddziela nas ona od głębokiego wąwozu, najbardziej południowego z tych, o których wspominałem. Zwracamy się teraz wprost w górę i połogim stokiem wychodzimy na szeroki grzbiet Kopy. Postępujemy nim teraz ku północy trzymając się nieco w prawo, skąd mamy piękny widok na Grań Sławkowską i dolinkę tejże nazwy. Tak dochodzimy w półtorej godziny od wyjścia ze schroniska na oznaczony słupkiem najwyższy punkt Kopy.

Dalej zmienia się całkowicie charakter grani: zamiast szerokiego śnieżystego grzbietu sterczą ostre skały coraz wyższe, coraz trudniejsze. Przez kilka turniczek schodzimy na siodło, stąd biorąc się w prawo mijamy trudny stopień grani i wygodnym żlebem wychodzimy na szczyt Dwoistej Turni (po niem. Ottospitze). Tu zasiadamy na krótki odpoczynek zwróceni do słońca pod skałą chroniącą nas od wiatru z północy. Przed nami cały Spiż przecięty liniami dróg połyskuje tu i ówdzie dachami domów. Lasy zrudziałe nie mają tej soczystej zieleni co w lecie i zboże nie złoci pól.

Schodzimy dwoma piętrami na małą przełączkę i stajemy na początku właściwych trudności. Przed nami Granacka Turnia—długi koń skalny. Wchodzi się nań płytą, która zdala wygląda przerażająco, w rzeczywistości jednak obfituje w dobre chwyty. Po kilku krokach na wązkim grzebieniu stajemy obok kopczyka, a nieco dalej grań urywa się kilkumetrową ścianą. Przechylamy się nad brzeg aby się przekonać, że tu coś niebardzo puszcza. Zjechać na linie nie można, nie mamy bowiem pętli a haka niema gdzie wbić, bo śnieg szpary zakrywa. Trzeba jakoś obejść. Wracamy do przełączki, skąd na zachód wiedzie płytka rynna. Schodzę nią ostrożnie parę metrów, niestety podcięta u dołu i nie widać końca. Na wschód wązki, bardzo stromy żleb śnieżny prowadzi za daleko w dół. Wracamy więc znowu nad naszą ściankę. Tuż przed nią ku Wielkiej Dolinie odchodzi rynna. U góry dobra... u dołu również podcięta. W lecie, w trzewiczkach dałaby się zrobić niewątpliwie, teraz jednak nie mamy ochoty próbować. Cofamy się więc znowu, tym razem pod samą Dwoistą Turnię i próbujemy stąd obejść naszą przeszkodę w prawo lub w lewo. Okazuje się jednak, że, czy jedną czy drugą stroną, musielibyśmy schodzić bardzo nizko. Niema rady, z wściekłością wspinamy się po raz trzeci na Granacką Turnię i zabieramy się na seryo do owej ścianki, bo to jedyne nasze zbawienie. Ukośne pęknięcie, prowadzące od prawej ku lewej w dół, dzieli ją na dwie części. Górna — lewa jest nieco przewieszona, dolna — prawa złożona z mniej pochyłych płyt. Przechodziliśmy to miejsce znajdując dla rąk liche chwyty w pęknięciu a po dolnych płytach sunąc kolanami, gdyż raczki nie miały tam żadnego oparcia. Górna część ściany wypychała ciało na zewnątrz. Jeżeli jeszcze dodam, że szpara była wypełniona lodem, tak że z trudem można było odgrzebać pewny chwyt, to zgodzi się każdy, że należałoby to przejście nazwać bardzo ryzykownem przedsięwzięciem, gdyby nie pewne okoliczności łagodzące. Były niemi: brak znaczniejszej ekspozycyi i możliwość zabezpieczenia także z dołu, z grani leżącej o kilka metrów niżej i nieco w lewo.

Przeszedłszy to miejsce, które nam zabrało tyle czasu a i sił sporo, zeszliśmy kilkanaście metrów śnieżnym żlebem na wschód, poczem następny żlebik wyprowadził nas znowu na grań. Minęliśmy w ten sposób drugi kilkumetrowy, prostopadły uskok. Widzimy znowu poziomy kawałek grani z kopczykiem na końcu — to Śląska Turnia. Po stronie zachodniej opada ona regularną stromą płytą, wzdłuż której wiedzie kilka wygodnych gzymsów. Jednym z nich dochodzimy do kopczyka, aby się przekonać, że dalej grań znowu ucięta i przewieszona. Przypomina, jak się później przekonaliśmy z boku patrząc, głowę konia. Nieco przed końcem jej wiedzie na zachód wązki przewieszony kominek, z góry nie wyglądający zbyt dobrze. Na takie niespodzianki nie byliśmy przygotowani, w czem zresztą wina nasza własna, gdyż zaniedbaliśmy przed wyjazdem zaznajomić się z opisem Dr. Martina*), który pierwszy tę grań w całości przeszedł i właśnie w tych miejscach spuszczał się na linie. Na usprawiedliwienie jednak nasze muszę dodać, że wyjeżdżając

*) Akademischer Alpen-Verein Berlin. IV. Jahresbericht 1907. str. 28 i n.

na wycieczkę mieliśmy tylko jeden ściśle określony cel t. j. Batyżowiecki, reszta programu miała się złożyć sama podczas wycieczki.

Stojąc na brzegu przewieszki oglądamy dalszy ciąg grani. Szeregiem turniczek zniża się ona ku szerokiej przełęczy, poza którą wznosi się piękna, wybitna turnia w kształcie szerokiej wieży. Może to być tylko Sławkowska Turnia (po niem. Blasytalturm). Jeszcze dalej nieco na prawo wychyla się potężna korona Staroleśnej. Zadajemy sobie teraz pytanie, czy — gdybyśmy potrafili jakkolwiek dostać się dalej — będziemy mieli sposobność łatwego zejścia w dolinę? Jest już bowiem 3 godzina. Napewne możliwe zejście do Wielkiej Doliny mamy dopiero z przełączki, na którą wychodzi żlebem zwykła droga na Staroleśną. Ale do tego miejsca bardzo jeszcze daleko. Nie dochodząc doń możnaby zapewne zejść na zachód do innego żlebu, jednak moglibyśmy się tym sposobem dostać w pułapkę, gdyż większa część tych żlebów jest u dołu niemożliwa do przejścia, zwłaszcza w zimie. Ściany wschodnie nie rokują nic dobrego. Rozważywszy te wszystkie okoliczności postanawiamy nie iść dalej, lecz wrócić tą samą drogą.

W kilka chwil potem stoimy znowu przed gładką ścianą Granackiej Turni, poczem zabieram się do przejścia z pomocą owego pęknięcia. Odrazu jednak przekonuję się, że stosunki znacznie się pogorszyły. Popołudniowe słońce oświeca tę część ściany a kamienie w rysie, które rano przymarznięte służyły nam za chwyty, teraz zostają mi w ręce. Po chwili namysłu postanawiamy raczej obejść turnię od zachodu. Jest tu trawers dwadzieścia przeszło metrów długi, prowadzący kilkanaście metrów pod szczytem prawie poziomo. Z początku idzie się nie najgorzej, potem coraz trudniej: trzeba się przewinąć popod skałą wystającą, nie znajdując dobrych stopni dla nóg. Na szczęście chwyty przeważnie dobre. Wśród tego lina wyszła a tak jak stoję nie mogę stanowić żadnego zabezpieczenia dla mego towarzysza. Na szczęście obok znajduje się blok nieco odsunięty od ściany, tworzy rodzaj ucha. Aby tamtędy linę przesunąć muszę się sam odwiązać co nie jest rzeczą łatwą, gdyż mam do dyspozycyi tylko jedną rękę. Jeszcze trudniej przesunąć linę przez otwór w skale i nie zgubić przytem końca a po przesunięciu znowu zawiązać. Po kilku minutach takiej akrobatyki jestem znów bezpieczny i czekam na mego towarzysza, po jego przybyciu dochodzę łatwiej już do końca trawersu. W tem miejscu uchodzi 3 metrowa prostopadła część owej rynny, którą próbowałem z góry schodzić. Wbiwszy w śnieg czekan uzyskuję nieco podwyższony stopień i bez wielkiego trudu wciągam się na rękach. Za chwilę jesteśmy obaj na przełączce, która oddziela Granacką Turnię od Śląskiej Turni.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Z Kopy schodzimy szerokiem polem — idealnie dałoby się tu zjeżdżać na nartach — prosto na południe, poczem w prawo przez kosówki kierujemy się ku schronisku, obchodząc strome spaszty jakiemi ostatnia odnoga grani opada ku Wielkiej Dolinie. Ta ostatnia część drogi dała nam się we znaki. Oto wszędzie w pobliżu kosówki tworzą się z wiosną w śniegu jamy, z wierzchu nie widoczne. Zapadaliśmy też w nie co chwila po pas. W pobliżu schroniska przecięliśmy świeży ślad niedźwiedzia, idący w kierunku wschodnim. Ponieważ zrobiliśmy zamknięte koło, więc „On“ musiał się znajdować w jego obrębie, inaczej bylibyśmy przecięli ślad dwukrotnie. Rozglądając się ujrzeliśmy o kilkadziesiąt kroków rodzaj koliby, gdzie się ślady zdawały gubić. Tam zapewne ułożył się na dalszą drzemkę, jednakże nie mieliśmy ochoty sprawdzać tego wniosku na podstawie autopsyi.

Ku wieczorowi ukazały się na wschodzie pasy chmur a wiatr, który prawie był ustał, teraz zrywał się na nowo. Mimo to nastawiliśmy budzik na 3 godzinę rano, mając zamiar spróbować w razie sprzyjającej pogody Garłu-

cha. Na to jednak nie zanosiło się, przez całą bowiem noc hulał straszliwy wicher a gdy rano o naznaczonej godzinie Jurek z bohaterskiem poświęceniem, którego nigdy nie przestanę podziwiać, ubrał się i wyszedł wyjrzeć na pogodę, wrócił z wieścią, że jest pochmurno, mglisto i tak przytem dmucha, że kroku zrobić nie można. Wobec tego przewróciłem się na drugi bok, aby wyzyskać jaknajlepiej ten dzień przymusowego spoczynku. Przez sen dochodziły do moich uszu odgłosy jakby ktoś chodził i skakał po kurytarzu, jednakże z lekkomyślnością właściwą śpiącemu turyście przeszedłem nad tem do porządku dziennego, rozumując zupełnie logicznie, że jeżeli to jest nasz sąsiad niedźwiedź, to i tak na to nic nie poradzimy. Tego samego zdania był zapewne i mój przyjaciel, który — jak mi później opowiadał — słyszał również hałas. Dzięki temu wstaliśmy obaj dopiero po siódmej. W chwilę potem pomyślawszy o śniadaniu, wyszedłem do sieni, gdzie trzymaliśmy dla chłodu część zapasów. Któż jednak zdoła opisać moje przerażenie gdy spostrzegłem, że talerz mój jest całkowicie opróżniony z mięsa, niema nawet pakietu z szynką, który leżał obok. Rozpocząłem natychmiast poszukiwania z latarnią i znalazłem tuż pod ławką, na której leżały zapasy dziurę w podłodze. Była ona przedtem przez ostrożnych gospodarzy schroniska przykryta cegłą, którą — jak sobie teraz przypomniałem — sam wczoraj wieczorem zabrałem z tego miejsca, była mi bowiem do czego innego potrzebna. W ten sposób niechcący zaprosiłem na smaczną kolacyę szczury czy też inne penaty schroniska. Na szczęście był to właśnie Wielki Tydzień.

Na dworze tymczasem wicher nie ustawał, aby jednak nie zmarnować dnia postanowiliśmy przejść się, chociażby na Polski Grzebień, skąd — w razie polepszenia się pogody — mogliśmy wyjść na M. Wysoką lub Wielicki. Tak się jednak nie stało, gdyż w miarę jak wznosiliśmy się niepogoda biesiła się coraz więcej. Zaledwie zaś minęliśmy Staw Długi, otuliła nas taka gęsta mgła, że na kilkanaście kroków nic nie było widać. Mimo to żadnemu z nas nie chciało się wyciągać kompasa, byliśmy bowiem szczelnie pozapinani a na ręce wciągnęliśmy po 2 pary rękawic, aby się uchronić od przenikliwego wichru, który dął z góry od północy. Sądziliśmy zresztą, że ta właśnie — skądinąd nie zachwycająca — okoliczność ułatwi nam zachowanie stałego kierunku, wystarczy bowiem iść wciąż pod wiatr, aby trafić na Polski Grzebień. Tak rozumując szliśmy pod górę zachodnim stokiem Suchej Kopy. Znana rzecz, że droga we mgle — gdy nie widać szczegółów — a zwłaszcza przeciw wiatrowi, wydaje się dłuższa niż w rzeczywistości. Nie dziwiło nas też z początku, że mimo dłuższego marszu jakoś przełęczy nie widać. Wkrótce jednak zaczęły wyrastać po naszej prawicy jakieś czarne strome ściany, których w tem miejscu zupełnie nie oczekiwaliśmy. Uspokajaliśmy się myślą, że to zapewne ściana na wschód od Polskiego Grzebienia we mgle tak wygląda i że zaraz trafimy na pole śnieżne wyprowadzające pod przełęcz. Wszak mamy wciąż wiatr na twarzy, nie mogliśmy więc zmienić kierunku. Owego pola jakoś jednak nie było widać, owszem nachylenie zmniejszało się, widocznie dostaliśmy się na jakieś piętro. Takiego piętra jednak niema w drodze na Polski Grzebień. Przytem od dłuższej już chwili grunt stawał się niebezpieczny. Idąc po stoku wciąż przechodziliśmy mniejsze zsuwy nawiane jak się wydawało przez dzisiejszy wicher. Wobec tego dokonałem bohaterskiego czynu i zdjąwszy obie rękawice dobyłem kompasu, aby się z przerażeniem przekonać, że idziemy właśnie w południowo-zachodnim kierunku. Tak więc obeszliśmy popod ścianami Wielickiego i Litworowego i znajdując się w najdalszym zakątku Wielickiej Doliny zaczęliśmy wracać ku ścianom Gierlachu. Razem z nami zmienił kierunek i wiatr, który dalej miótł nam w twarz ostre pruszyny śniegu. Wobec tego obróciwszy się na pięcie wróciliśmy naszym

śladem. Gdyśmy byli pod Polskim Grzebieniem rozwidniło się nieco, dzięki czemu wyszliśmy tym razem zupełnie gładko na przełęcz. Widać oczywiście nie było nic, prócz skałek po obu stronach siodła, tudzież kilkunastu górnych metrów obu stoków. Jedynym ciekawym przedmiotem była porzucona butelka z szampana, którą jakiś szlachetny filister, władowawszy przewodnikowi na plecy, u celu wycieczki — w podziwie dla swej szalonej odwagi — w pogodny dzień letni tutaj wypróżnił. Widok ten usposobił nas melancholijnie, przywodząc na myśl rozkosze tego świata. Ja przypomniałem sobie moje befsztyki zjedzone przez szczury, a towarzysz mój miał wizyę obiadu, który czekałby nas o tej porze w Westerowie. Wkrótce też zaczęliśmy szybko schodzić.

Kilkaset kroków powyżej schroniska mgła kończyła się a wiatr również mniej się dawał we znaki, zato jednak dała się odczuwać silna odwilż a niebo zachmurzone miało wygląd jakby lada chwila chciało kropnąć wiosenną ulewą ; Spiż natomiast cały kąpał się w słońcu.

Gdy nazajutrz pogoda nie poprawiła się, tak że o żadnej poważniejszej wyprawie w tych warunkach nie można było myśleć, postanowiliśmy zejść na dół i zużytkować ten dzień na przeniesienie kwatery do Popradzkiego. Przedtem jednak trzeba było uporządkować i zamknąć schronisko, co nam zajęło sporo czasu wskutek czego około 10-tej poczęliśmy zjeżdżać wzdłuż potoku. Dzięki wcale dobremu stanowi śniegu stanęliśmy w kilku minutach w miejscu, gdzie droga jezdna przechodzi na lewą stronę potoku, łącząc się ze ścieżką pieszą. Był to jedyny dłuższy zjazd, jakiego zakosztowaliśmy podczas całej tej wycieczki. Jeszcze kilkaset kroków można było jechać drogą, poczem odpiąwszy narty z ciężkiem westchnieniem władowaliśmy je na plecy, zbiegając po błotnistym gruncie.

W Westerowie zastaliśmy właściciela, który bardzo się ucieszył widząc nas wracających zdrowo, i oprowadził po nowo zbudowanem olbrzymiem sanatoryum, gdzie podziwialiśmy piękne urządzenie wewnętrzne. Ponieważ narty nie okazały się — jak dotychczas — przyrządem potrzebnym, postanowiliśmy wysłać je pocztą do domu. W ten sposób będziemy mieli z Popradzkiego wolną drogę przez Rysy lub Mięguszowiecką Przełęcz, podczas gdy z nartami musielibyśmy wracać przez Koprową.

Dzięki tym rozmaitym zajęciom wyruszyliśmy koło 6-tej drogą ku Hagom. Pogoda była piękna, tylko w górze wokół szczytów uganiały chmurki, to wynurzając się z nad przełęczy i wypełniając doliny, to znów niknąc. Wyglądało to tak niewinnie, że nie znający się na rzeczy nie wierzyłby, że tam w tej chwili panuje burza i zadymka.

W Hagach dowiedzieliśmy się, że dzierżawca p. Polnisch znajduje się w schronisku przy Popradzkiem, ale ma wrócić na wieczór. Udaliśmy się więc w dalszą drogę, licząc, że go spotkamy. Jakoż zaledwie uszliśmy kilometr, zamajaczył na gościńcu szereg postaci, między któremi odszukaliśmy p. Polnischa. Dowiedziawszy się, że chcemy zanocować w schronisku, ofiarował nam chętnie gościnność dodając, że klucze znajdują się w posiadaniu dwu turystów węgierskich, którzy właśnie dziś do schroniska przyszli i zapewne parę dni pozostaną. Ucieszeni tym obrotem sprawy puściliśmy się w dalszą drogę, która niestety niezbyt przyjemne pozostawiła nam po sobie wspomnienie.

Gdy bowiem począwszy od Szmeksu gościniec był całkiem wolny od śniegu, to kilka kilometrów za Hagami poczęły się ukazywać płaty śniegu, a od miejsca, gdzie droga skręcając na północ przecina potok. Popradzki, wszystko było zasypane. Powodem tego zjawiska, które — jak nas potem poinformowano — powtarza się co roku, jest zapewne nietylko wyższe wzniesienie tej części drogi, ale i większa ilość opadów w zachodniej części Tatr Wysokich w porównaniu ze wschodnią. Skutek tego — z naukowego punktu

widzenia bardzo zresztą ciekawego zjawiska — był taki, że co chwila zapadaliśmy po uda. Nic więc dziwnego, że dopiero o $10^1/_2$ dotarliśmy do leśniczego Hawasa, którego mój towarzysz znał na szczęście dobrze.

Nazajutrz — był to Wielki Piątek — ruszyliśmy około 7-mej ku Popradzkiemu, gdzie też dzięki dobremu śniegowi stanęliśmy w dobrym czasie. Schronisko było zamknięte na żelazne rolety i w pierwszej chwili byliśmy w obawie, że nasi poprzednicy z powodu niepogody zeszli na dół lub też przenieśli się do Śląskiego schroniska. Jednakże po małych poszukiwaniach udało mi się odnaleźć wetknięte w szparę klucze. Otworzywszy z ich pomocą schronisko, przekonaliśmy się z rzeczy porozkładanych w pokoju, że jego czasowi mieszkańcy udali się tylko na krótką wycieczkę.

Zostawiwszy część naszych rzeczy, zatknęliśmy — jak przystało — bilety wizytowe i zamknąwszy rolety puściliśmy się w kierunku Złomisk nie zważając na to, że pogoda pogarszała się ustawicznie. Zamiarem naszym było zwiedzić Ganek lub Żłobisty Szczyt — zależnie od warunków, jakie napotkamy. Wkrótce dostrzegliśmy ślady nart, widocznie więc i węgierscy turyści podobny cel mieli dziś na oku.

Właśnie wydostaliśmy się na górne piętro Złomisk, gdy ujrzeliśmy dwie postacie zbliżające się ku nam od strony Rumanowego. Zobaczywszy nas przyspieszyli kroku i wkrótce uścisnęliśmy ich dłoni. Byli to pp. Laufer i Kaczander, członkowie budapeszteńskiego klubu turystycznego; wracali z nieudałej wyprawy na Ganek, którego z powodu oblodzenia napotkanego w dolnych partyach nie osiągnęli. Obecnie mieli zamiar spróbować Żłobistego, jednakże ze względu na coraz gorszą pogodę postanowili na dzisiaj dać pokój. My jednakże nie chcieliśmy tracić trzeciego dnia i postanowiliśmy przeprowadzić nasz plan do końca. Pożegnawszy więc ich ruszyliśmy ku żlebowi, którym rozpoczyna się wchodzić na Żłobisty Szczyt.

Mgła pozwalała nam widzieć tylko jego ujście lecz to nam zupełnie wystarczyło. Raz znalazłszy się w żlebie nie zmylimy, ponieważ znaliśmy obaj drogę. Przedtem jednak należało nieco odpocząć i pożywić się, gdyż jasne było, że przy takiej pogodzie nie można będzie nawet marzyć o dłuższym przystanku na szczycie lub chociażby po drodze. Napotkawszy rodzaj płytkiej koliby, wcisnęliśmy się pod głaz pół siedząc pół leżąc i zasłoniwszy sobą maszynki staraliśmy się ugotować nieco herbaty. Z boku wiatr sypał na nas tumany śniegu. Mimo, że herbata była szybko uwarzona i po kwadransie stanęliśmy gotowi do drogi, zdążyliśmy przez ten krótki czas zmarznąć na kość.

Nałożywszy raczki pięliśmy się zakosami po twardym śniegu. Kilkanaście kroków powyżej wejścia w żleb zaczęły się pojawiać warstwy nawianego śniegu, były one wszakże jeszcze za cienkie, aby mogły tworzyć niebezpieczne zsuwy. Mimoto, posuwaliśmy się bardzo ostrożnie, starając trzymać się w pobliżu lewej grzędy, zaś w górnej części idąc wzdłuż środkowej ostrogi, która dzieli żleb na dwie części. Na samym końcu pojawiły się gładkie płyty, przykryte tylko cienką warstwą śniegu.

Tak wydostaliśmy się na grań oddzielającą nasz żleb od szerokiego wąwozu, który wiedzie na pierwszą przełączkę na wschód od szczytu. Tutaj zmieniły się warunki: zamiast mniej lub więcej grubej warstwy starego, twardego śniegu mieliśmy pod nogami gładkie stopnie, miejscami oblodzone i pokryte zaspami świeżego śniegu, pod którym nie można było poznać nachylenia. Związawszy się liną przetrawersowaliśmy kilkanaście kroków na małą platformę. Stąd bardzo trudną rynną wydostaliśmy się wyżej, poczem również trudno osiągnęliśmy grań południową. W pół zasypany kopczyk, który spostrzegłem dopiero stanąwszy na nim upewnił nas, że dobrze idziemy. Dalsza droga wymagała również wielkiej ostrożności; na wązkiej grani nasadził wiatr strome

ostrze śniegu i nie było można rozróżnić gdzie śnieg, a gdzie skała pewna. Sondując starannie czekanem posuwaliśmy się powoli, zabezpieczając się nawzajem liną założoną na wbite po rękojeść w śniegu drzewce.

Po kilkunastu minutach wynurzyło się nagle przed nami kilka olbrzymich głazów — to szczyt. Wokół nieprzebita mgła, nic zupełnie nie widać, prócz tych kilku kamieni, na których stoimy. Wiatr uciszył się nieco, tylko śnieg dużymi płatami sypie cicho, bez szelestu.

Usiadłszy obok kopczyka oblepionego śniegiem, wygrzebałem puszkę z biletami, które zaczęliśmy przeglądać. Jest ich tu już bardzo dużo, nie tak jak na Batyżowieckim, gdzie zawsze jeszcze w zacnej kompanii znaleść się można.

Lecz wkrótce nowy podmuch wiatru sypiąc garść igieł w twarz upomina nas, że to nie pora na wczasy, wszak mamy przed sobą jeszcze powrót, w tych warunkach stanowiący trudniejszą część wycieczki. Wkładamy więc nasze bilety i skrzętnie chowamy puszkę w kopczyku.

Krok za krokiem, lina za liną schodzimy tą samą drogą. Wiatr coraz gwałtowniejszy, śnieg coraz gęściej pokrywa stoki, gdzieniegdzie ślady nasze tak zasypane, że ich nie możemy odszukać, choć dopiero godzinę temu wybiliśmy doły półmetrowe. W żlebie warstwa naniesiona zgrubiała znacznie; jeszcze jakie dwie godziny takiej pogody a stanie się niebezpieczną. Wiatr dmie nam w twarz, śnieg włazi pod szyję, zasypuje oczy, tworzy cały pancerz na piersi. Wszystko to jednak nie pozbawia nas spokoju, z zimną krwią robimy swoje. Powoli schodzimy żlebem; gdy jeden z nas idzie, drugi zarywszy się głęboko nogami posuwa linę na wbitym w śnieg czekanie.

Wreszcie jesteśmy u końca żlebu, pochyłość zmniejsza się znacznie, odwiązujemy się więc z liny i zbiegamy na dół. Cała droga tam i nazad trwała cztery godziny. Jeszcze godzina szybkiego marszu i jesteśmy przy schronisku. Nasi znajomi wybiegają przed nas, pytając o wynik. Na potakującą odpowiedź składają nam gratulacye uściskiem dłoni.

Wycieczka ta pozostanie mi zawsze w pamięci jako jedna z najbardziej udałych. Wprawdzie nie widzieliśmy przez cały czas nic prócz gęstej opony mgły i szarych smutnych stoków lub czarnych ścian wyrastających z powicia śniegu.

Nie użyliśmy także przyjemności interesującego wspinania się. Przechodziliśmy wprawdzie miejsca bardzo trudne, ale inne one były, niż te, któremi cieszymy się nieraz w lecie na słonecznej grani. I nie to mię cieszyło, że wyszliśmy na nasz szczyt pierwsi w zimie, lub, żeśmy nań wogóle wyszli w takich okolicznościach. Cieszyło mię i napawało dumą coś zupełnie innego.

Oto mimo tak ciężkich warunków dokonaliśmy naszego dzieła bez najmniejszego wypadku, co więcej — zrobiliśmy wszystko, co w mocy naszej leżało, aby usunąć wszelką jego możliwość.

Nie daliśmy się doprowadzić do tego, by dla pośpiechu poświęcić coś z bezpieczeństwa. Nie cofnęliśmy się małodusznie przed walką, ale i nie ryzykowaliśmy za wiele. Zwycięstwo osiągnęliśmy nie szczęśliwym zbiegiem okoliczności, nie jak gracze, którym się szczęście uśmiechnęło, ale wywalczyliśmy je sobie własnemi siłami, własną wytrwałością i własną umiejętnością, latami trudów nabytą. Nawet taką wycieczkę mieliśmy p r a w o zrobić. I to poczucie dało mi najwyższe zadowolenie.

W około tymczasem śnieg sypał dużemi płatami, topniejąc na dachu, z którego spływały strugi wody. Nazajutrz to samo. Jasną było rzeczą, że choćby się wkrótce rozpogodziło, to przez kilka dni nie będzie się można puścić w góry ze względu na lawiny. Nie mając nart musielibyśmy przesiedzieć cały czas w schronisku, nie mogąc nawet mniejszych wycieczek próbować. Wobec tego pomyśleliśmy o odwrocie.

Podziękowawszy węgierskim kolegom za gościnność z jaką dzielili się z nami szczupłem miejscem w schronisku, ruszyliśmy z powrotem do Szczyrbskiego. Była to zaprawdę krzyżowa droga. Śnieg rozmiękł zupełnie, zapadaliśmy więc przeważnie po uda — a czasem dla odmiany po pas. Od czasu do czasu twardszy płat pozwolił nam zrobić kilka kroków po powierzchni, już cieszyliśmy się, że męki nasze skończone, aby w tej chwili utkwić „w śnieżnym puchu“ jakby powiedział poeta, który nigdy zapewne w takiej sytuacyi się nie znajdował. Na dobitek trzeba się było spieszyć, by nie spóźnić pociągu. Do dzisiaj nie mogę pojąć jakim cudem zdołaliśmy tę przestrzeń przebyć w trzy godziny.

Od jeziora dobra już droga trasą kolejki powiodła nas do stacyi Szczyrba. Na drugi dzień rano — a była to Niedziela Wielkanocna — krzesząc iskry podkutemi butami wkraczaliśmy ku zgorszeniu odświętnie ubranych mieszkańców w ulice Lwowa. *Z. Klemensiewicz.*

Wskazówki o linie.

Nie tak to dawne jeszcze czasy, kiedy lina była w Tatrach narzędziem turystycznem niezmiernie rzadko używanem i spotykanem. I to nie tylko dlatego, że taternictwo nie wysoko wówczas stało. Robiono już wtedy rzeczy wcale trudne, obchodząc się zupełnie dobrze bez pomocy liny. Bo lina naogół nie jest przyrządem tak niezbędnym, jak się to dziś powszechnie rozmaitym „turystom“ wydaje. Jako przykład podam, że droga tej trudności, jak północną ścianą Ostrego Szczytu została dwukrotnie w wyjściu i zejściu wykonana bez użycia liny. To jednak nie przeszkadza, że w ostatnim roku spotykało się często z liną turystów idących przez Zawrat, lub na Świnicę, a nawet obserwowano śmiałków wyruszających do Czarnego Stawu... z trzydziestometrową liną. Widać z tego, że lina, którą należy — rzecz jasna — zawsze na wierzchu nosić, uważana jest za bardzo zaszczytną i wzbudzającą podziw ozdobę... Dla tej jednak kategoryi „turystów“ wskazówki niniejsze nie są przeznaczone, — nie mamy bynajmniej zamiaru pisać, w jaki sposób należy zwijać linę, aby się najefektowniej na piersiach układała.

Taternik używa liny, jako przyrządu turystycznego pierwszorzędnej wartości. Każdy jednak, kto wybiera się z liną na trudniejszą wycieczkę powinien dobrze wiedzieć, że lina może oddać w górach wprost nieocenione przysługi, lecz tylko wówczas, gdy się jej umiejętnie używa. W przeciwnym razie jest nietylko niepotrzebna, lecz nawet w najwyższym stopniu niebezpieczna. Nawet nieznaczna nieostrożność w użyciu liny mści się nieraz strasznie; smutnym tego przykładem jest znana katastrofa na Żabim Koniu z 1907 r.

Liczne są przyczyny tego, że u nas nawet wśród zapalonych taterników umiejętność używania liny stoi bardzo nizko. Brak polskiego podręcznika taternictwa odgrywa tu może największą rolę. Podając w Taterniku krótkie wskazówki o linie, chcielibyśmy tę dotkliwą lukę w naszej literaturze taternickiej choć w części zapełnić. Pragnących zapoznać się bliżej z powyższym tematem odsyłamy do znakomitego dzieła „Die Gefahren der Alpen“ (omówionego w naszem piśmie w zeszłym roku, nr. 3. str. 58), w którem kwestya używania liny jest wyczerpująco przedstawiona.

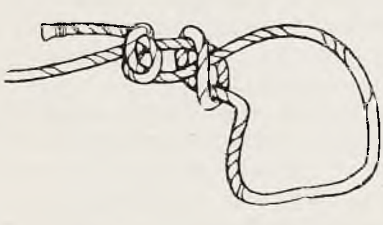
Jeśli mowa o linie, to przedewszystkiem interesuje każdego pytanie, jaką linę nabyć, a więc z jakiego materyału, jak długą i grubą. Na pyta-

nia te odpowiemy krótko. Za najlepszy materyał na liny turystyczne uważają dziś powszechnie włókna manillowe, dlatego polecamy liny manillowe. Kwestya, czy lina ma być kręcona, pleciona, czy sztucznie przędzona jest drugorzędna; kto jednak niema zamiaru liny używać często, winien pamiętać, że liny kręcone mało używane są zazwyczaj bardzo sztywne, zwlaszcza zmoczone. Co się tyczy grubości liny można na ogół powiedzieć, że do celów turystycznych nie należy używać lin o średnicy mniejszej niż 9 mm., lub większej niż 13 mm. W obrębie tych wymiarów jest wytrzymałość liny na zerwanie wystarczająco wielka. Dlatego też lin grubszych (12 i 13 milimetrowych) polecać należy tylko tym turystom, w których program wchodzą wycieczki wymagające częstszego spuszczania się na podwójnej linie. Jest to jedyny wypadek, w którym lina 13 milimetrowa posiada znaczną wyższość nad 10 milimetrową. Innych wybitnych korzyści liny grubsze wobec cienszych nie posiadają, natomiast są zawsze znacznie cięższe. Wreszcie — odnośnie do długości liny — da się również powiedzieć, że kto zamierza używać liny do pierwszorzędnych wycieczek górskich i takich, w których konieczność spuszczania się na podwójnej linie zachodzi bardzo często, ten zrobi najlepiej nabywając linę długości 25—30 m.

Wszystkim innym 15 lub 20 metrowa lina najzupełniej wystarczy. Lin dłuższych niż 30 metrowych nikomu nie polecamy; ich znaczna długość utrudnia nadzwyczaj wszelkie manipulacye (np. przeciąganie przez pętle, haki, rozplątywanie i t. d.). Daleko lepiej jest nosć dwie liny, których ciężar rozłożony na dwóch uczestników wycieczki, nie daje się tak niemile odczuć jak jednej trzydziestokilkometrowej.

Przechodzimy teraz do kwestyi drugiej, ważniejszej, mianowicie, j a k u ż y w a ć w g ó r a c h l i n y.

Aby umieć liny w górach racyonalnie używać, należy przedewszystkiem umieć w i ą z a ć s i ę linq. Pora do uczenia się wiązania najlepsza jest w domu, a nie... na wycieczce. Sposobów wiązania się liną jest kilka. Wszystkie one są dobre i praktyczne; najlepiej jednak zrobi ten, co jeden tylko porządnie wyćwiczy i stale używać go będzie. Jeden z takich „węzłów końcowych“ podajemy obok; po dokładnem obejrzeniu łatwo się go nauczyć można. Polega na tem, że w odległości 120—150 cm. od końca liny wiąże się zwyczajny pojedynczy węzeł. Opasując się teraz w pasie przewlekamy koniec liny przez ów węzeł i wiążemy przewleczonym końcem nowy pojedynczy węzeł na właściwej linie. Na tem cała rzecz skończona. Węzeł ten ma tę zaletę, że lina nie przesuwa się przezeń i przy szarpnięciu, lub ciągnięciu nie ściska niemile w pasie*). Gdy chodzi o połączenie dwu lin, używamy sposobu uwidocznionego obok.



Rys. 1. Węzeł końcowy.



Rys. 2. Łączenie lin.

Po tych „przedwstępnych studyach“ w zakresie używania liny przechodzimy do tematu właściwego, t. j. do sposobów umiejętnego posługiwania się liną na wycieczce górskiej.

*) Lina turystyczna kupiona w handlu ma zazwyczaj jeden koniec zwinięty w pętlę. Każdy dyletant chce korzystać z tego urządzenia do wiązania się, a to przeciągając w prosty sposób drugi koniec liny przez tą pętlę i ściskając się kluczką w ten sposób powstalą. Jest

Zaznaczyliśmy już na wstępie, że nieumiejętne użycie liny może sprowadzić zgubne następstwa. Dlatego też każdy z techniką liny nieobznajomiony zrobi najlepiej, nie posługując się liną zupełnie, względnie ograniczając jej użycie do minimum, a wówczas ze zrozumiałą ostrożnością. W takim razie gdyby zaszedł nieszczęśliwy wypadek, ofiarą jego padnie zazwyczaj tylko jeden z turystów, a nie wszyscy na jednej linie związani. Z powyższego wypływa również zasada, że liczba osób związanych na jednej linie musi być ograniczona. Znana jest od dawna reguła, że najlepszą kombinacyą przy wspinaniu się na skałach jest dwóch turystów. W jakiej odległości od siebie powinni być związani nie jest obojętne; na tatrzańskie stosunki lepsze jest raczej większe niż mniejsze oddalenie. Najlepiej wiązać się na dwóch końcach liny, odległość zatem będzie co najmniej 15 m. Jeśli wycieczkę odbywa trzech turystów, to wiązanie się razem jest wówczas polecenia godne, jeśli wszyscy trzej są z techniką liny dobrze obznajomieni; zawsze jednak pamiętać należy, aby oddalenie jednego turysty od drugiego nie było za małe. W każdym razie nic nie można zarzucić procederowi, gdy dwóch tylko turystów jest równocześnie związanych, trzeciemu zaś podaje się linę po pokonaniu danego miejsca przez drugiego. Wiązanie na jednej linie więcej niż trzech turystów jest ciężkim błędem; to też, gdy uczestników wycieczki jest więcej niż trzech, należy podzielić się na dwie lub więcej osobno idących partyi.

Na skałach spełnia lina normalnie dwojakie funkcye: jako ubezpieczenie wspinających się i jako przyrząd do spuszczania się w dół. Dla pewnej kategoryi „turystów" oddaje prócz tego lina bardzo wybitne usługi, jako przyrząd do wyciągania ich do góry. O tej jednak mało zaszczytnej roli liny będziemy na tem miejscu dyskretnie milczeli.

Funkcye liny w ubezpieczaniu z jednej strony, a w spuszczaniu się z drugiej są zupełnie odrębne i wymagają osobnego omówienia.

Rola liny przy ubezpieczaniu polega na tem, aby niebezpieczeństwo katastrofy, której początkiem jest odpadnięcie turysty od ściany (przez utratę równowagi, urwanie się chwytu, stąpnięcia i t. d. i t. d.) możliwie zmniejszyć. Uzyskuje się to w ten sposób, że przez związanie się dwóch turystów na linie, jeden nabywa możność powstrzymania drugiego od zlecenia w przepaść. Jak tego dokonać objaśnia technika ubezpieczania liną. Zasady jej nie są zbyt liczne. Przedewszystkiem obaj turyści muszą być rzeczywiście związani (sposoby wiązania patrz wyżej); proste wzięcie liny do ręki lub okręcenie jej dookoła siebie jest naiwnem a wysoce niebezpiecznem oszukiwaniem samego siebie. Powtóre — powstrzymanie kogoś od upadku może być normalnie tylko wtedy możliwe, gdy się jest na to każdej chwili przygotowanym. Dlatego podczas ubezpieczania może być tylko jeden z turystów w ruchu. Wiązać się liną a potem iść przez cały czas równocześnie jest karygodnym nonsensem. Wówczas albo ubezpieczanie zupełnie nie było potrzebne, a lina stanowiła zbyteczny tylko i zawadzający dodatek, albo też było potrzebne, a wtedy równoczesne wspinanie się przy związaniu się liną jest podniesieniem niebezpieczeństwa do kwadratu. Z tego zarazem wynika, że liną wiązać się należy wyłącznie na drogach trudnych; połą-

---

to jednak „mordercze" urządzenie: nie tylko ściska niemiłosiernie, lecz jest także mało bezpieczne. Poza tem posiada owa pętla na końcu liny zdumiewającą skłonność do zaczepiania się za każdym kamieniem, występem skalnym, przy spuszczaniu się — za pętlą, lub na haku. Nic też bardziej doradzić nie możemy nabywcy nowej liny, jak natychmiastowe rozwiązanie lub odcięcie owej pętli. Uciekanie się do tego rękoczynu dopiero w kominie lub na ścianie po smutnych doświadczeniach, nie należy do zbytnich przyjemności.

czenie liną na łatwych miejscach tylko wówczas tolerować można, jeśli to jest niedługa przestrzeń między dwoma po sobie następującemi trudnemi miejscami.

Ubezpieczać można — rzecz jasna — zarówno przy wspinaniu się do góry, jak i schodzeniu na dół. Co się tyczy ostatniego, zauważyć należy, że nie jest bynajmniej racyonalnie używać liny przy zejściu wyłącznie do spuszczania się, nie posługując się nią zupełnie do ubezpieczania. Wogóle mówiąc, tam gdzie się da wyjść do góry, da się i zejść bez spuszczania się. Do tego środka uciekać się winien ostatni z idących. Pozostałym zaś należy polecać zejście z ubezpieczeniem, chyba, że spuszczając się na podwójnej linie zyskujemy na czasie.

Jak w zastosowaniu powyższych reguł przedstawia się ubezpieczanie liną? Przypuśćmy, że dwóch turystów staje u stóp bardzo stromej trudnej ściany, którą należy wziąć do góry. Związują się liną. Pierwszy zaczyna się wspinać, drugi zajmuje przedewszystkiem możliwie najlepsze miejsce t. j. takie, na którem by mógł wytrzymać ciężar i szarpnięcie spadającego ciała. W tym celu szuka jakiegoś występu skalnego lub głazu odpękniętego od ściany, za który można przełożyć linę. Jeśli takiego niema, a miejsce jest rzeczywiście niebezpieczne, należy wbić hak stalowy z pierścieniem, przez który przeciągamy linę, ewentualnie założyć do tego samego celu pętlę (patrz niżej). Lina między oboma turystami winna być lekko napięta, nigdy zaś nie zwisać wolno. Na to baczyć ma na dole stojący turysta, winien przeto nie spuszczać z oka pierwszego, śledzić jego poruszenia i przesuwać przez swoje ręce potrzebną ilość liny. Winien dalej baczyć, aby lina nie plątała się i nie zaczepiała, wreszcie donosić pierwszemu ile liny pozostaje jeszcze do końca. Jeśli w miarę wznoszenia się pierwszego w górę okaże się wyżej dogodny występ skalny do założenia zań liny, powinien na dole stojący turysta uczynić to przez odpowiednie przerzucenie liny, ewentualnie przekłada linę pierwszy.

Rzecz jasna, że powyższe ubezpieczenie nie uchroni pierwszego, w razie odpadnięcia od skały, od zlecenia kilka, czy kilkanaście metrów. Mimo to jednak racyonalnie wykonane ubezpieczenie uratowało już wielu od niechybnej śmierci. Ma też ubezpieczenie dla pierwszego potężne moralne znaczenie: świadomość, że się jest z drugim połączonym silną liną pozwala na pokonanie takich miejsc, na jakie bez liny nie starczyłoby odwagi.

Gdy pierwszy pokona ścianę, ewentualnie osiągnie miejsce, skąd może dobrze ubezpieczyć drugiego — zatrzymuje się i zajmuje możliwe stałe i silne położenie, więc najlepiej siada i zapiera się nogami. Następnie ściąga do siebie tyle liny, aby się między nim, a na dole stojącym turystą lekko naprężyła. Wówczas uwiadamia towarzysza, że wszystko gotowe. Ten zaczyna się wspinać; wspinać się ma zupełnie samodzielnie, tak, jakby się wspinał, gdyby wogóle nie był ubezpieczony liną z góry. Obowiązkiem turysty siedzącego na górze jest utrzymywanie liny bezustannie w lekkiem napięciu, nigdy zaś wyciąganie towarzysza w górę. W razie utraty równowagi nie czeka wspinającego się — przy racyonalnem ubezpieczeniu — nic gorszego nad zawiśnięcie na linie.

Ubezpieczenie przy zajściu wykonuje się w sposób zupełnie analogiczny, tylko odwrotny. Jeden z turystów zajmuje dobre i bezpieczne miejsce, drugi zaś schodzi po skale w dół, ubezpieczany z góry lekko napiętą liną. Ostatni z turystów — o ile nie spuszcza się na podwójnej linie — schodzi wolno, ubezpieczany liną z dołu, w sposób zupełnie podobny, jak przy wychodzeniu pierwszego do góry. Z powyższego widać, że przy wyjściu do góry najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą funkcyę spełnia pierwszy z idących, przy zejściu zaś — ostatni.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach ubezpieczanie liną.

Ważną rolę odgrywa lina przy zejściu, służąc — jak zaznaczyliśmy wyżej — do spuszczania się w dół. O spuszczaniu się na linie mówimy wówczas, gdy korzystamy z pomocy liny zwisającej poprzez ścianę bądź to częściowo (trzymając się jej jedną lub oboma rękami, a nogami schodząc po skale), bądź też całkowicie (zjeżdżając wyłącznie na linie i nie posiłkując się ścianą zupełnie). W ostatnim wypadku mówimy o wolnem spuszczaniu; jest ono — rzecz jasna — możliwe właściwie wtedy, gdy ściana jest przewieszona. Wynika z tego, że przy pomocy liny można wykonywać takie drogi, które w wyjściu są wogóle niemożliwe.

Najracyonalniejszym i też najpowszechniej używanym sposobem jest spuszczanie się na podwójnej linie. Urządzenie to jest w zasadzie bardzo proste. W okolicy miejsca, z którego mamy się spuszczać wyszukujemy blok, odchylony od ściany przynajmniej o tyle, aby lina ściągana od dołu nie zesunęła się po nim. Zbyteczne dodawać, że blok musi być silny i niewzruszalny. Za blok zakładamy linę w połowie*), a oba końce puszczamy w dół i na tem urządzenie do spuszczania się zwykle gotowe. Czy turysta będzie trzymał się liny jedną, czy dwoma rękami, czy też zjeżdżał wolno w powietrzu — zależy od terenu.

Cały dowcip spuszczania się na podwójnej linie polega na tem, aby, gdy wszyscy turyści znajdą się na dole, można było przyjść napowrót w posiadanie liny przez pojedyncze ściąganie jej za jeden koniec (lub przez zrzucenie jej z bloku za pomocą podrzucenia). Dlatego należy uważać przy zakładaniu liny, aby się ona w jakiej szparze za blokiem nie zacięła. Aby tego uniknąć dobrze jest włożyć pod linę w kilkoro złożoną gazetę. I to jednak nie zawsze pomaga, najlepiej jest przeto założyć t. zw. pętlę. W tym celu otaczamy głaz dookoła (nie za ciasno!) silnym (co najmniej 7 milimetrowym) sznurem, wiążąc w ten sposób powstałą pętlę najlepiej węzłem podanym na str. 88, rys. 2. Lina przewleczona przez pętlę da się zawsze — o ile pętla jest racyonalnie założona — bez trudności ściągnąć (pętla, rzecz jasna, zostaje na górze). — Niekiedy zdarza się, że niema w pobliżu odpowiedniego głazu do założenia pętli. Wówczas używamy haków stalowych z pierścieniami. Na tatrzańskim granicie znajdzie się niemal zawsze odpowiednia szczelina do wbicia haka; jako młotka używamy kamienia.

Z powyższego wynika, że kto wybiera się na trudną wyprawę, wymagającą spuszczania się na linie, winien być zaopatrzony w kilka metrów sznura na pętle (ewentualnie w parę gotowych pętli, jakie nabyć można w handlu) i w parę haków z pierścieniami.

Do posługiwania się na wycieczce pętlami zostawionymi przez poprzedników należy się odnosić z jak największą rezerwą; najlepiej założyć własną, świeżą pętlę. Przed użyciem haka wbitego przez poprzedników należy przekonać się, czy tkwi silnie w skale.

Zjeżdżanie na linie „wolno w powietrzu", albo też tam, gdzie się wprawdzie dotyka ściany, ale nie znajduje się na niej punktów oparcia — wymaga pewnej wprawy i silnych ramion. W takich wypadkach polecenia godne jest ubezpieczanie spuszczającego się drugą liną z góry. Ostatniego można także ubezpieczać z góry, o ile jest uwiązany do drugiej liny, która przesuwa się przez drugą pętlę (aby pierwsza wskutek tarcia nie pękła) i jest trzymana przez turystów na dole stojących.

*) Praktycznie jest oznaczyć połowę liny (np. za pomocą czerwonej nitki).

Jasne jest, że jeśli się ma np. 20 m. liny, to możemy się na niej tylko połowę t. j. 10 m. spuścić. Miejsca jednak, któreby wymagały dłuższego, niż 15 m. puszczenia się na linie spotykamy tylko wyjątkowo.

Są także sposoby spuszczania się na pojedynczej linie, rozsądny turysta nigdy jednak nie będzie zmuszony uciekać się do nich; nawet w najgorszych sytuacyach znajdzie się inne wyjście, niż ryzykowne spuszczanie się na pojedynczej linie, — tem bardziej zaś niema ono zastosowania dla początkujących.

Takie są wiadomości o linie nieodzowne dla każdego taternika, a pożyteczne i dla turystów, którzy mają zamiar wybrać się niekiedy dalej niż na Świnicę, Gierlach, lub Orlą Perć. Wszechstronnej wprawy w używaniu liny nabyć można dopiero po długich latach samodzielnych wycieczek, — tu wchodzić w dokładne szczegóły techniki liny nie pozwalają szczupłe ramy niniejszych wskazówek.

R. Kordys.

Nowe drogi.

Kozi Wierch od północy. (Pierwsze wyjście 22. lipca 1909). Od żlebu pomiędzy Kozim Wierchem a Koziemi Turniami na lewo poniżej północnej ściany szczytu po półkach i ściankach podchodzimy do stromego żlebu po lewej (wsch.) stronie posad skalnych głównego szczytu. Żlebem dochodzimy do miejsca gdzie takowy rozwidla się na dwa prawie pionowe kominy. Stąd na lewo po półkach skalnych aż do spadzistej 20-metrowej ściany, którą wydostajemy się na wsch. grań szczytu.

Cała droga trudna i bardzo eksponowana. Czas około 3 godzin.

W. Jerominówna, W. Kulczyński, A. Znamięcki.

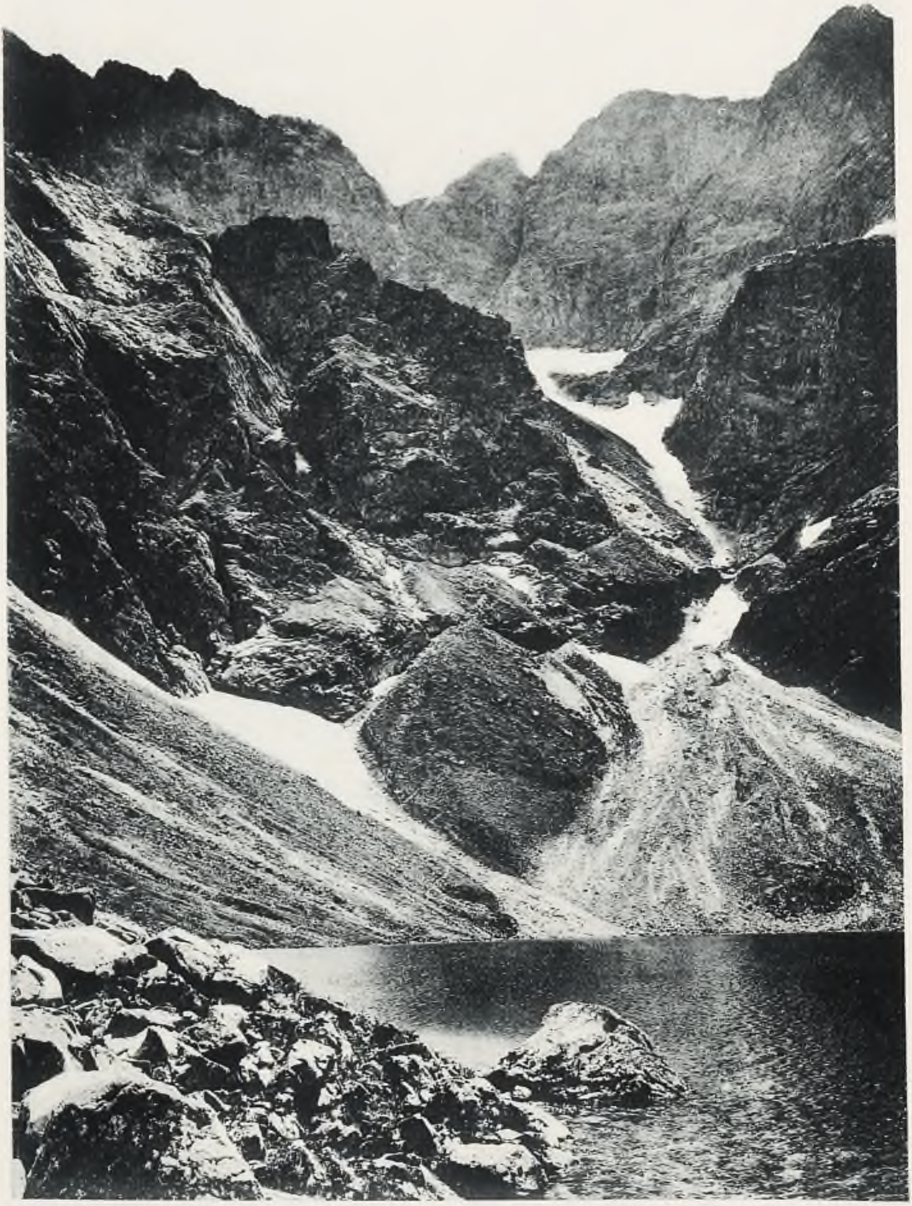
Nowe wycieczki w okolicy Morskiego Oka (Żabia Lalka, Mnich, Igła w Żabiem). W czasie 15 do 18 sierpnia 1908 uczestniczyłem w kilku wycieczkach dokonanych przez członków Sekcyi, zgromadzonych przy Morskiem Oku z okazyi otwarcia nowego schroniska. Turystyczny rezultat tych wycieczek był następujący:

Żabia Lalka. Jest to końcowa turnia krótkiej grani Żabich Mnichów (oddzielającej się od grani: Rysy — Żabi Niżni Szczyt w głównym wierzchołku Żabiego Mnicha) o charakterystycznych i regularnych kształtach głowy kręgla *). Stopy turni owija wyraźny, dość szeroki zachód, dostępny łatwo od szerokich upłazów trawiastych, leżących poniżej i na południe od Niżniej Białczańskiej Przełęczy (2023 m)**). Zachód ten idzie stromo w górę i kończy się na grani Żabiej Lalki, na południowy zachód od turni. Przeszedłszy przez grań stajemy wysoko nad żlebem, spadającym ku Czarnemu Stawowi od Przełęczy Białczańskiej Wyżniej. Do tego żlebu jednak nie potrzeba schodzić, ponieważ tuż obok nas zaczyna się wązka półka trawiasta, wiodąca stokami Żabiej Lalki i Żabich Mnichów aż na samą Wyżnią Białczańską Przełęcz.

Od wązkiej przełączki między Żabią Lalką a Żabim Mnichem (niższym wierzchołkiem) schodzą w obie strony kominy. Jeden zwrócony ku Czarnemu Stawowi (zachodni) uchodzi na ów szeroki zachód, drugi (wschodni) na wspomnianą trawiastą półkę. Komin zachodni jest bez porównania trudniejszy. Nim

*) Żabie Mnichy i Żabia Lalka widoczne są na fototypii tytułowej Pamiętnika T. T. z r. 1907. (Główny wierzchołek tuż poniżej szczytu Łomnicy, na prawo w dół niższy wierzchołek i jeszcze niżej Żabia Lalka).

**) patrz „Przewodnik" J. Chmielowskiego, cz. II. rozdz. 108, str. 199.



Fot. D. K. K.

Nakł. Sekcyi Turyst. T. T.

ŻABIA PRZEŁĘCZ OD CZARNEGO STAWU.

wyszli na przełączkę (a z niej na Żabią Lalkę) dnia 5 sierpnia 1908 pp. J. Chmielowski, G. Komarnicki i dr. A. Kroebl z Józkiem Tomkowym (I. wyjście). Część tego komina przeszedł jednak już 18 sierpnia 1907 r. Józek Tomkowy, próbując bezskutecznie przejścia. — Południowym kominem schodzili pp. J. Chmielowski, dr. A. Kroebl i A. Staniszewski z wymienionym przewodnikiem 18 sierpnia 1907 przy sposobności trawersowania Żabich Mnichów.

15 sierpnia 1908 wyszła wycieczka Sekcyi turystycznej na Żabią Lalkę. Gdy główna część wycieczki szła kominem wschodnim, — prof. Król, M. Zaruski i podpisany powtórzyli drogę kominem od zachodu. Ponieważ droga ta dotychczas nie została opisana, podaję jej szczegóły. Komin około 40 m. wysoki, jest wązki, bardzo stromy i zazwyczaj mokry. Po dolnych kilku metrach dochodzimy do pierwszej przewieszki, którą najlepiej przejść zapieraniem się (trudniej obchodząc na prawo). Później 10—15 m. bardzo stromo do górnej przewieszki, stanowiącej najtrudniejsze miejsce drogi. Tę pokonujemy na prawej ścianie komina (w decydującej chwili świetny stopień na nogę na drugiej ścianie) i wydostajemy się na malutkę platformę, z której ostrożnie przekraczając zwisający głaz na lewo, wkraczamy do dalszego ciągu komina (wygodna, mało stroma rynna). Nią zupełnie łatwo na przełączkę (10—20 minut). Przejście interesujące, w Tatrach dość rzadko spotykana forma wspinania się. (Komin wschodni jest dość łatwy). Od przełączki granią — przez trzy stopnie, wskutek skąpości chwytów dość trudne — na szczyt turni (5 min.).

Schodziliśmy wszyscy (8 osób, patrz Taternik II. str. 96) przez południo-o zachodnie urwisko turni (z powodu wielkiej ilości uczestników 195 m. liny użyciu). Na bloku szczytowym — pętla. Stąd 12 m. — wolno w powietrzu (w stronę Czarnego Stawu) na obszerną zupełnie poziomą terasę. Z niej półeczką na lewo (ku Rysom) kilka kroków do drugiej pętli. Od niej około 25 m. na linie w dół, z tego 10 m. po stromej płycie, reszta wolno w powietrzu. Z platformy teraz osiągniętej blizko i nie trudno do miejsca, gdzie kończy się wyżej często wspominany zachód (zejście trwało z powodu wielkiej ilości turystów — przeszło 3 godziny).

M n i c h (grań południowa, I. przejście). 16 sierpnia. W. Jerominówna, J. Chmielowski, I. Król, M. Zaruski, G. Komarnicki i podpisany. Z niższego (południowego) szczyciku Mnicha zapomocą trzykrotnego spuszczenia się na linie osiągamy przełęcz między Mnichem a skośną turnią widoczną od Morskiego Oka na lewo od szczytu Mnicha. Zejście odbywa się poprzez bardzo strome i gładkie turnie, do góry prawdopodobnie niemożliwe. Niezbyt interesujące. Od wspomnianej przełączki na ową skośną turnię łatwo w parę minut.

I g ł a w Ż a b i e m (I. wyjście). Wanda Jerominówna i tow. Idąc od północnego brzegu Czarnego Stawu owczą percią na Niżnią Białczańską Przełęcz spostrzegamy (w ok. 10 minut od opuszczenia ścieżki nad stawem) w turniach, wyrastających w zachodnich ścianach Żabiego Niżniego Szczytu — nadzwyczaj efektowną iglicę, uderzającą śmiałością budowy.

Opuściwszy w odpowiedniem miejscu wspomnianą perć dochodzimy przez upłazy i gęste kosówki, w końcu trawiastą rynną na siodełko między turnią a masywem góry. Szczyt turni przewyższa owo siodełko o 22 m. Stąd wiedzie w górę aż do wierzchołka jednostajnie nachylona, stroma i dość wązka, lecz dostatecznie zadzierzysta płyta (od Czarnego Stawu $^3/_4$—1 godz.) Schodziliśmy z przełączki w drugą stronę (ku północy) zrazu trawersując poziomo następnie w dół przez bardzo gęstą kosówkę, wreszcie jednym z licznych żlebów, przerzynających stoki Żabiego — miejscami nie łatwo — na brzeg Morskiego Oka.

R. Kordys.

Siarkan (po niem. Drachensee Turm) [główny wierzchołek]. W grani oddzielającej Dolinę Złomisk od Doliny Siarkańskiej [t. j. kotliny Smoczego Stawu

(1961 m.)] wznosi się szereg turni, z których najwyższa i najwybitniejsza jest turnia północna, najbliższa Wysokiej, odgraniczona od niej szeroką, piarżystą przełęczą (przechodzi się przez nią dążąc na Wysoką przez Dolinę Złomisk). I. wyjście: E. Dubke z J. Franz'em sen. około r. 1904*). II. wyjście: Dr. O. Friedrich z J. Strompf'em 4. VIII. 07. III. wyjście: niżej podpisani 6. VIII. 07.

Od przełęczy między Wysoką a Siarkanem stromą, lecz zadzierżystą granią do stóp kilkumetrowej przewieszki, której obejść nie można, lecz pokonać ją trzeba przy pomocy żywej drabiny. Wkrótce potem opuszczamy grań, wchodzimy na zachodnią, ścianę turni i długim trawersem przechodząc kilka bocznych żeber obchodzimy szczyt turni (aby dostać się nań z drugiej strony, t. j. od południa). Na odległość liny od szczytu wydostajemy się dość trudną ścianką na grań (albo bliżej szczytu kominem) i wązką granią na szczyt turni (od przełęczy 1/2 godz.). Droga nie łatwa.

Z. Klemensiewicz, R. Kordys, A. Znamięcki.

I. przejście granią ze Świstowego Szczytu (2380 m.) na Dziką Turnię (2378 m.). 12. czerwca 1909 z bratem moim Romanem Komarnickim.

Ze Świstowego Szczytu szerokim grzbietem (ku pd. wschodowi) idziemy (dosłownie) poprzez trzy wzniesienia grzbietowe, na których znajdowały się kopczyki. Z ostatniego wzniesienia — opadającego urwisto ku przełączce — na lewo, poprzez słabo nachylone płyty i nieco zniżając się, przekraczamy grań na prawo, na jej zachodnią stronę. Tu — stromą i wązką rynną ok. 10 m. w dół na małą platformę, poczem na lewo w dół idącą półką trawiastą aż poniżej siodła, które osiągamy po piargu. Grań staje się całkiem wązka; nią na poblizką turniczkę, złożoną z dwu bloków płytowych. Między nimi schodzimy na skały szerokiej znowu grani, która doprowadza do szerokiego siodła. Następują teraz dwie, najbardziej wybitne turnie w grani. Po prawej stronie pierwszej osiągamy krótkiem zacięciem małą płaśń piarżystą, poczem parę kroków na lewo i przez popękaną płytę na wierzchołek turni. Na krawędzi (4-metrowy pionowy stopień) wdół na przełączkę, z której wązką półeczką 8 metrowy trawers na prawo, na zachodnią ścianę drugiej turni — aż poza krawędź i stromem zacięciem wprost na szczyt turni. Granią w dół na szerokie siodło i obchodząc następne, pionowe spiętrzenie się grani na lewo — idziemy dalej granią (przeważnie nie używając rąk) do stóp szerokiej buli, wysuniętej ku Świstowej Dolinie. Osiągamy ją stromą, lecz łatwą ścianą, wspinając się skośnie na prawo. Skalistą granią dalej aż do siodła, nad którem spiętrza się półn. grań Dzikiej Turni (spadająca ku zach. grzęda zamyka tu obszernie piarżyste wgłębienie). Dążąc ku grani od prawej strony i obchodząc jej dolną, niedostępną część — osiągamy po płytach następny stopień, a potem ścianą północny wierzchołek Dzikiej Turni, tworzący długą, wązką i poziomą grań (kopczyk i bilety). Łatwe zejście na przełączkę między północnym, a głównym szczytem (nad nią zwisa wielki krzesany blok ze szczytu głównego). Z poziomu przełączki (tuż na prawo od owego bloku) 2 metrową przewieszką (u góry dobry chwyt) wydostajemy się na malutki skrawek piargów w zachodniej stronie urwistej grani i stromem korytem wydostajemy się od prawej strony na grań i zaraz potem na blizki wierzchołek Dzikiej Turni ($2^1/_2$ godz.).

Powyższa graniówka, jakkolwiek wiedzie na dłuższych przestrzeniach po skałach, trawą przetykanych, — jest jednak na wielu miejscach, zwłaszcza w ostatniej części, wcale interesująca.

Wielki Kościół (2151 m.) od Pośredniej Grani. 1 września 1908 w towarzystwie pp. Dr. A. Martina i I. Laufera w połączeniu z graniówką: Żółta Ławka — Żółty Szczyt — Pośrednia Grań (patrz Taternik II. Nr. 5. str. 92 i n.).

*) nie dr. O. Friedrich, jak donieśliśmy w Taterniku I. (1907) nr. 5.

Grzbiet ciągnący się od szczytu Pośredniej Grani ku pd. wschodowi jest przeważnie trawiasty, a wyrastające z niego turnie skalne poprzerywane są częstokroć przełączkami, zniżającemi się aż do trawników. Tuż poniżej szczytu Pośredniej Grani przechodzą skały w trawnik, dopiero niżej — nieco na prawo — rozpoczyna się skalista grań. Zaczyna go turnia, na którą wychodzimy; w drugą stronę przeważnie na krawędzi stromo w dół — po drodze przechodzimy po przez 3 metrowy występ skalny z kopczykiem (był to według biletu „Lexturm"*) — aż do stóp t. zw. turni Fabescha (o wiele lepiej po trawie parę metrów poniżej grani, niż na krawędzi). Tu na prawo na pn. zachód zbocza turni i trawersując poprzez kruche skały osiągamy krótką grańkę boczną (spadającą ku Staroleśnej Dolinie); nią (skała bajecznie krucha) na lewo na szczyt turni (od Pośredniej Grani 1 godz.). Z drugiej strony wchodzimy w trawiaste wgłąbienie, poprzerywane małymi stopniami (dolny — najwyższy: 5—6 m.) i niem w dół, potem trawami i perciami koziemi maszerujemy skośnie na lewo do grani, którą osiągamy w podobnej do wrót przełączce. Przeszedłszy przez nią na stronę Doliny Zimnej Wody — schodzimy nieco w dół i trawersując kilka nieznacznych grząd, wchodzimy do trawiastego żlebu, wrzynającego się w masyw Wielkiego Kościoła i wywodzącego na grań szczytową (niemal poziomą) tuż poniżej (na pn.) wierzchołka. Wspinając się żlebem (nieprzyjemne trawy) osiągamy grań i blizki szczyt ($1^1/_4$ godz.).

Zejście ku południowemu wschodowi**). Ze szczytu krótką granią pd. wschodnią, dopóki nie przejdzie w strome płyty. Tu na lewo, na miejscami trawiaste skały i spuściwszy się poprzez niewysokie (4—5 m. urwiska, osiągamy rynnę trawiastą, wiodącą (po stronie Doliny Zimnej Wody) ku przełęczy między Wielkim a Małym Kościołem. Nią w dół. Potem po trawie na lewo schodząc dochodzimy do trawiastego żlebu, z początku szerokiego, poniżej zaś zwężającego się i ograniczonego ścianami. Żleb ten rozdzielają w licznych miejscach żebra i trawiaste grzędy na rozmaite rozgałęzienia; trzymamy się stale najwygodniejszego, w końcu poniżej południowej ściany bocznej żlebu, który się zupełnie zwęża. Teraz dnem żlebu poprzez wymyte, białe skały w dół; nagle żleb się urywa pionową ścianą (ok. 40 m. powyżej usypisk). Bezpośrednio obok początku urwiska, poniżej krawędzi prawej ściany bocznej — mały trawnik. Wchodzimy nań ostrożnie, poczem wiedzie stąd ukryta półka trawiasta (ok. 25—30 m.) poziomo do sąsiedniej (na pd.) skalistej rynny; wreszcie poprzez łatwe, trawiaste stopnie, trzymając się nieco na lewo — osiągamy poblizkie zbocza trawiaste Dol. Zimnej Wody.

Wycieczka ma nie wiele interesujących momentów. Idzie się przeważnie po trawie; skała jest wszędzie krucha. Wielki Kościół przedstawiający się zdala jako dumny róg skalisty, jest w rzeczywistości trawiastą górą.

Dr. Gyula Komarnicki.

Skrajny z Kominów w Dolinie Strążyskiej. Pierwsze wyjście i przejście 19 lipca 1909. Podchodzimy od strony ujścia doliny trawiastem zboczem do grani Kominów i boczną ścianką osiągamy charakterystyczny stopień (4m. trudne), gdzie wygodne miejsce dla 3 osób. Stąd na ostry, kruchy ząb, z którego stojąc krawędzią o niepewnych chwytach i oparciu na szczyt (4 m. trudne). Ze szczytu, na którym zaledwie dwie osoby pomieścić się może zajmujący widok na Dolinę Strążyską. Zejście wprost ku dolinie z użyciem liny 16 m. do zęba, gdzie pętla i dalszych 16 m. do zbocza tuż przy drodze.

*) patrz Taternik III. str. 18.

**) Droga poniżej opisana jest mniej więcej identyczna ze szlakiem dotychczas używanym (I. wyjście H. Fabesch 21 lipca 1901). Ponieważ brak jest w literaturze tatrzańskiej opisu (artykuł Fabescha w Turisták Lapja, nr. 4—7 1907 jest zupełnie niejasny) zamieszczamy poniższy. (Red.)

Wejście i zejście bardzo zajmujące dla wprawnego i doskonale z używaniem liny obznajomionego turysty; zasługuje bardzo na powtórzenie zwłaszcza z powodu bliskości Zakopanego.

W. Jerominówna, W. Kulczyński, A. Znamięcki.

Wycieczki członków Sekcyi turystycznej w r. 1908.

(Dokończenie*)

(Objaśnienie: Nazwy poprzedzone gwiazdką * oznaczają wycieczki z przewodnikiem, inne bez przewodnika; „prz.“ = przejście, oznacza zwiedzenie szczytu odmiennemi drogami w wyjściu i zejściu; „Z.“ oznacza wyjście zimowe (nie na nartach) w czasie od 1. grudnia do 30. kwietnia; „N.“ wycieczkę narciarską; „sam“ wycieczkę samotną; kreska — łączy wyjścia jednego dnia dokonane; „pn.“ = północny, „płd.“ = południowy, „wsch.“ = wschodni, „zach.“ = zachodni).

Goetel Walery, Kraków: Babia Góra (N. 1-e wyjście narciarskie, przejście z pn. na poł.), Liliowe—Zawory—Koprowa, Koprowa—Zawory—Liliowe, Liliowe—Zawory, Hruby (prz.), Przełęcz Teryańska Wyżnia (prz. 1 przejście grani pn.-zach.), Zmarzły Staw pod Polskim Grzebieniem — Litworowa Dol. — stoki Litworowego szczytu — Kacza Dol., Biała Woda — Kacza Dol. — Zasłonista Turnia (1-e wyjście, 1-e przejcie poł.-zach. grani) — Główny Szczyt Śnieżnej Kopy Żelaznych Wrót (prz.) — Wschodni Sczyt Śnieżnej Kopy Żelaznych Wrót (prz.) — Żelazne Wrota, Kacza Dol. — półn. żleb Gerlachu, Świnica (półn.-zach. ściana, nowy waryant, oba wierzchołki prz.), Zawrat (prz.), Czarny Szczyt (1 prz. od pn.-zach. na wsch. 1-e wyjście pn.-zach. ścianą, nowe zejście), Jastrzębia Dol. — Dzika Dol. — Łomnica (pn. ściana, prz.), Zimna Woda — Staroleśna — Dzika Turnia (1 wyjście wsch. ścianą) — Rohatka (prz.) — Polski Grzebień, Kominy w Strążyskiej, Trzydniowiański Wierch (prz.) — Jarząbcza Dol., Rakoń (prz.) — Zuberska Dol. — Rohacz Ostry (1 wyjście pn.-zach. ścianą, prz. nowe zejście), Zielone Wierchy (prz.) — Rohacz Płaczliwy (prz.), Osobita (prz.), Okole (N.), Bratkowska (N), Tataruka — Trojaska — Stik — Menczul Wielki (N).

Jerominówna Wanda, Warszawa: * Mnich II, * Zawrat, Żabia Lalka (II wyjście, I przejście), Mnich (dwukrotnie tego samego dnia, I przejście pd. grani), Igła w Żabiem (I wejście), Mięguszowiecka Przełęcz pod Chłopkiem — Chłopek (I wejście, I przejście), Rumanowa Przełęcz — Ganek — Gankowa Przełęcz — Rumanowy Szczyt (nowe zejście), Lodowy Szczyt (przejście).

Zaruski Marjusz, Zakopane: Giewont (szczyt) (N), Liliowe, Przeł. Koprowa, Szczyrbskie Jez., Baszta Skrajna (N), St. Batyżowiecki, Polski Grzebień, Dol. Białej W. — Zakopane, (N) Przysłop Miętusi. Wantule, Skoruśniak pod Wielką Turnią, Mała Łąka, (N) Kopieniec Wyżni, (N) Żółta Turnia (szczyt), Wołowiec („prz.“), Rohacz Płaczliwy („prz.“), Rohacz Ostry („prz.“), Osobita („prz.“), Zawrat („prz“), Przeł. pod Chłopkiem, Granat („prz.“), Orla Baszta, Południowy szczyt Kościelca, Turnia Zawratowa („prz.“), Mury Liptowskie granią („prz.“), Hruby Miedziany, Mięguszowiecki nad Czarnym, Żabi Wyżni (na Przeł. Białczańską wyjście od Stawów Białczańskich, zajście do Stawu Czarnego), Mięguszowiecki nad Czarnym („prz.“), Niżnie Rysy wszystkie turnie, Niżnie Rysy szczyt południowy, Żabia Lalka („prz.“), Mnich I („prz“) trzy szczyty, Niebieska Turnia („prz.“), Wielka Buczynowa Turnia z dol. Pańszczycy, Kościelec Szczyt główny („prz.“), Kościelec szczyt połd., Dzika Turnia, turnia 2332 („prz.“), Giewont („prz.“), Wierch Kasprowy (N.).

Znamięcki Aleksander, Londyn. 1906: Świnica, Krzyżne — Miedziane, Rysy, Kozi Wierch, Wrota Chałubińskiego — Koprowa Przełęcz, Gierlach (sam) — Polski Grzebień, Giewont (I prz. właściwej pn. ściany), Mnich (przewieszką do góry, sam), * Kiezmarski (prz.) — * Wschodni Szczyt Wideł (I wyjście od wschodu) — Kamienny Staw (I zejście), * Łomnica (prz.) — Zachodni Szczyt Wideł (prz.) — Wielki Szczyt Wideł (I wyjście zach. granią) — Wschodni Szczyt Wideł — Kiezmarski Szczyt (*I przejście całej grani Wideł), * Durny — Łomnica (prz.), * Żłobisty — Rumanowy (II prz.) — Ganek, * Wysoka — Rysy (prz.)

1907: Zawrat, Rysy — Miedziane, Wyżnia Śnieżna Przełęcz (I prz.). Pięcio-Stawiański — Grań ku Baraniej Przełęczy (I prz.), Ostry Szczyt (I zejście granią zach., I wyjście granią wsch. I zejście płd. ścianą) — Lodowa Przełęcz, Giewont, Świnica, Kozi Wierch, Żabia Przełęcz — Żabi Koń (I prz.) — Żabia Przełęcz Wyżnia, Siarkan (II wyjście) — Igła w Wysokiej (I wyjście), Zmarzły — Kaczy — Batyżowiecki (I prz. Batyżowieckiej Grani), Polski Grzebień — Mała Wysoka, Hala Gąsienicowa (N. na jesiennym śniegu), Grota Juhaska (I zwiedzenie).

*) Patrz Nr. 1-szy Taternika.

1908: Świnica — Niebieska Turnia (II prz.) — Niebieska Przełęcz (I zejście) — Zawratowa Turnia, Kozia Przełęcz — Kozi Wierch (prz.), Północna ściana Mięguszowieckiego Szczytu (próba), Mnich II (sam), Żabia Lalka — Żabi Mnich — Żabi Szczyt Wyżni — Czeska Turnia (II wyjście), Wysoka (I prz. północnej ściany).

Z sezonu.

Ważniejsze wycieczki, o których doszły nas wiadomości są następujące:

M. Lerski znajduje 19 lipca częściowo nową drogę na Świnicę (przez połączenie dolnej części drogi pn. wschodnią ścianą z górną częścią drogi pn. ścianą).

E. W. Janczewski wychodzi 20 lipca na Szczyt Mięguszowiecki od północy drogą (prawdopodobnie) częściowo nową.

Tegoż dnia wychodzi W. Orzelski z przewodnikiem J. Marusarzem na Szczyt Sławkowski od północy.

W. Jerominówna, Wł. Kulczyński i A. Znamięcki wychodzą 22 lipca na Kozi Wierch od północy (patrz „Nowe drogi“).

Dr. Gyula i Roman Komarniccy wychodzą w ostatnich dniach lipca na Szczyt Zmarzły (2400 m.) ścianą północną, schodzą przełęczy między Wschodnim Szczytem Żelaznych Wrót a Zmarzłym Szczytem do Kaczej Doliny, oraz przechodzą pn. zachodnią ścianę Małej Wysokiej.

Ci sami rozwiązują 28 lipca znany problem: Gierlach od Kaczej Doliny.

Notatki.

Wydział Tow. Tatrzańskiego uchwalił na posiedzeniu z 9. czerwca oddać do użytku Sekcyi turystycznej obszerniejszy lokal w Dworcu tatrzańskim. Jest to obszerny pokój z werandą na 1 piętrze, obok dawnego pokoiku Sekcyi.

Przybory turystyczne ś. p. Karłowicza. Pani Irena Karłowiczowa oddała wszystkie przybory turystyczne syna swego w depozyt Towarzystwu Tatrzańskiemu. Wydział T. T. uchwalił na wniosek M. Zaruskiego umieścić przybory ś. p. Karłowicza w osobnej szafce w pokoju Sekcyi turystycznej.

Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie ratunkowe. Pod tą nazwą założone zostało w Zakopanem towarzystwo, którego celem jest „poszukiwanie zaginionych turystów i niesienie pierwszej pomocy w nieszczęśliwych wypadkach na obszarze Tatr“. Wkładka roczna członków wspierających wynosi 10 kor., członków zwyczajnych 2 kor. Wpisy przyjmuje biuro T. T. i Komisyi klimatycznej. Zarząd tymczasowy tworzą Dr. K. Dłuski jako prezes i 8 członków, wśród nich M. Zaruski, K. Brzozowski i Klimek Bachleda.

Założenie pogotowia witamy z radością, jako instytucyę naprawdę potrzebną. Rzecz jasna, że na razie nie będzie ono miało dla taternictwa większej wartości, związane jest bowiem z Zakopanem i z natury rzeczy może mieć przedewszystkiem znaczenie głównie dla poblizkiej Zakopanemu części Tatr.

Przewodnicy tatrzańscy. Inspektor Stacyi klimat. podał do wiadomości publicznej następujący komunikat w sprawie przewodnictwa:

Namiestnictwo reskryptem z 2 lipca 1909 oznajmiło, że sprawę stanowczego uregulowania przewodnictwa w Tatrach przedłożyło Ministerstwu robót publicznych dla wydania odpowiednich wskazówek. Równocześnie polecono Starostwu w Nowym Targu wydać natychmiast zarządzenia potrzebne celem zapewnienia turystom i podróżnym bezpieczeństwa i należytej opieki — przy uwzględnieniu w tym kierunku wniosków kół interesowanych i fachowych stowarzyszeń, a w szczególności Towarzystwa Tatrzańskiego i Sekcyi turystycznej tego towarzystwa w Zakopanem. Starostwo otrzymało polecenie ścisłego przestrzegania wydanych i wydać się mających zarządzeń, przez właściwe organa bezpieczeństwa, żandarmeryę, policyę gminną, oraz za pośrednictwem komisarza Rządu, względnie Inspektora Stacyi klimatycznej.

Ku pamięci Eugeniusza Wachtera, zabitego na Żabim Koniu 8 sierpnia 1907, umieszcza budapeszteński Klub turystyczny tablicę pamiątkową przy Żabich Stawach Mięguszowieckich. Odsłonięcie tej tablicy odbędzie się 8 sierpnia br. Sekcyę turystyczną reprezentować będą przy tej uroczystości pp. J. Król i A. Znamięcki.

Węgierski klub Narciarzy (Magyar si klub) buduje schronisko we Fatrze pod szczytem Krywania (1711 m.). Delegaci towarzystwa wybrali się podczas Zielonych świątek, aby wybrać miejsce na schronisko i zawrzeć umowę z przedsiębiorcą. Schronisko oddalone będzie 3 godzin od stacyi kolejowej Turań, 3 i pół godzin od stacyi Sutto i 5 godz. od Kralo-

wanu. Leżeć będzie na południowo-wschodnich stokach góry w wysokości 1240 m. na granicy lasów. Na budowę będzie użyte wyłącznie drzewo; koszta wynoszą około 1200 kor. W ten sposób otworzy się dla narciarzy znakomity, teren pod narty w Zachodnich Karpatach.

Nowe widokówki tatrzańskie. Towarzystwo Tatrzańskie wydało świeżo pierwszą seryę pocztówek z widokami z Tatr. Dziesięć w podwójnej autotypii bardzo pięknie wydanych obrazków pochodzi ze zdjęć śp. Karłowicza, J. Czerwińskiego i R. Kordysa. Są to reprodukcye z Pamiętnika 1908 i 1909. Kolekcya ta wzbogaca szczupłą ilość prawdziwie artystystycznych widokówek tatrzańskich. Kartki wykonane są u Anczyca w Krakowie

Członków Sekcyi turystycznej upraszamy uprzejmie o przysyłanie pod adresem Redakcyi wiadomości o swych ciekawszych wycieczkach, ewentualnie dokładnych opisów do „Nowych dróg“.

Nasza ilustracya przedstawia Żabią Przełęcz widzianą od Czarnego Stawu nad Morskiem Okiem. Jest to najniższe zagłębienie w grani tworzącej tło. Grań na lewo od przełęczy idzie ku Rysom. Piewsza zaś turnia na prawo to Żabi Koń. Jego pionowe urwisko na prawo (miejsce katastrofy śp Wachtera) opada ku Wyżniej Przełęczy Żabiej. (Żlebem idącym ku tej przełęczy szedł w r. 1875 W. Lorenz, przełęczy jednak nie osiągnął) Po Żabim Koniu następują: Żabia Turnia Mięguszowiecka (2338 m.) i Wołowa Turnia (ok 2355 m.). Usypiskami i szerokiem żlebiskiem powyżej stawu zdąża zwykła ścieżka na Rysy, której zakosy są widoczne.

Dokończenie artykułu R. Kordysa: „Rozwój narciarstwa polskiego“ ukaże się z powodu braku miejsca w następnym numerze.

Z piśmiennictwa.

Jahrbuch d. Ungarichen Karpatenvereins XXXVI. 1909 liczy 205 stron druku. Zawiera 9 większych artykułów, w tem 5 tyczących się Tatr. Na pierwszem miejscu spotykamy prawdziwie tarternicki opis przejścia północnej ściany Mnicha przez G. Komarnickiego. „Na Grani Mięguszowieckiej“ skreślone przez L. H. Horna są wspomnieniami wycieczki odbytej ze śp. J. Wachterem na 2 dni przed śmiercią tegoż na Żabim Koniu, na Środkowy i Wielki Szczyt Mięguszowiecki. Zejście do Morskiego Oka przez Przełęcz Hińczową sprawiło turystom wskutek ciemności i zmylenia drogi wielkie trudności. Artykuł cechuje wielka miłość do Tatr i taternictwa. G. Komarnicki opisuje dalej znaną z Taternika (II, str. 92) wycieczkę na Pośrednią Grań od Żółtej Ławki. Sposób pisania p. Komarnickiego znany jest naszym czytelnikom; oba też artykuły jego zawarte w omawianym Roczniku czyta się z wielkiem zainteresowaniem jako prawdziwe perły literatury taternickiej. Dr. J. Serényi publikuje swoją pracę o „Nomenklaturze grani Baszt“, w której dochodzi do rezultatów, że nazwy przyjęte dla tej grani przez Dyhrenfurth'a i Rumpelt'a (patrz również Przewodnik J. Chmielowskiego cz. II) są mylne i nieuzasadnione żadnemi regułami nadawania nazw górskich; jedynie racyonalna jest nomenklatura Klemensiewicza i Maślanki (patrz Taternik I. str. 81). Pracę objaśniają szkice rysunkowe.* Ten sam autor pisze o najważniejszych wycieczkach tatrzańskich w r. 1908. Podając krótki rys dziejów taternictwa, uważa r. 1905 za przełomowy. Zaznacza że obecnie punkt ciężkości turystyki tatrzańskiej spoczywa u Polaków. Następnie wylicza najważniejsze wycieczki zimowe z r. 1908, wreszcie podaje kronikę nowych wycieczek mniej więcej identyczną z „Nowemi drogami“ nr 3 br. Taternika. W artykule tym jest parę drobnych niedokładności. W rubryce „Nieszczęśliwe wypadki“ umieścił G. Komarnicki wspomnienie pośmiertne śp. Karłowicza. Autor przedstawił rolę zmarłego w taternictwie w sposób zdumiewająco trafny, odczuł i zrozumiał Jego duszę z rzadką przenikliwością. Ton nekrologu jest szczery i serdeczny, a ujęty w formy stylistycznie świetne.

Dzięki omówionym artykułom, które jak widać pochodzą z pod piór naszych kolegów taterników węgierskich, posiada omawiany Rocznik znaczną i trwałą wartość dla taternictwa.

Z artykułów nie tyczących się Tatr wymienić należy opis O. Jordana wycieczki narciarskiej na Dziumbir (2045 m.), najwyższy szczyt Niżnich Tatr.

W recenzyach znajdujemy między innemi obszerne omówienie Pamiętnika T. T. z r. 1908, w nekrologach zaś wiadomość o śmierci znanego miłośnika Tatr Samuela Webera († 18 maja 1908). W drobnych notatkach czytamy krótki opis wycieczki zimowej z kwietnia br. na Litworowy i Wielicki Szczyt (patrz Taternik III str. 65), oraz wzmianki o innych tegorocznych wycieczkach zimowych. W części urzędowej interesujący jest projekt wybudowania kosztem 1,300.000 kor. olbrzymiej sieci dróg tatrzańskich, począwszy od gościńca idącego ze Szczyrbskiego Jeziora na Tomanową Przełęcz, a skończywszy na 1 metrowych ścieżkach nawet na Łomnicę przez jej północną ścianę (!). Dowiadujemy się również, że Oddział Śląski zamierza wybudować na szczycie Garłucha obserwatoryum ze schroniskiem. Czy tak dalego idące uprzystępnianie Tatr jest potrzebne i korzystne — wątpimy.

*) Poruszona przez Serényi'ego kwestya nomenklatury tatrzańskiej będzie omówiona obszerniej w jednym z nast. n-rów Taternika (Red.).

Rocznik zdobią 2 mało interesujące dodatki ilustrowane, w tekście zaś spotykamy parę autotypii (ze zdjęć J. Chmielowskiego i A. Plöckl'a), których wykonanie niezbyt upiększa książkę. — *rk*

Turisták Lapja. Organ Węgierskiego Tow. Turystycznego. Rocznik XX. (1908, Nr. 1 — 12). Przedewszystkiem uderza nas przyjemnie, że czasopismo poświęciło tyle miejsca, rozpatrywaniu zagadnień turystycznych i dyskusyi nad niemi. Szereg rozpraw tego typu rozpoczynają „Przyczynki do spornych kwestyi“ dra. M. Jankovics'a, odpowiedź na artykuł w zeszłym roczniku dra R. Schwicker'a p. t. „Sporne kwestye“, który zagadnienie: chodzić z przewodnikiem, czy bez przewodnika rozstrzyga na korzyść tego ostatniego kierunku. Dr. Jankovisc jako turysta posługujący się stale przewodnikami usiłuje w swej replice okryć chwałą przewodników i wziąć ich w obronę. „Tylko jeden gatunek turystów pogardza przewodnikami, ten jednak nie godny jest nawet wspominania! Ludzie zbyt młodzi, którym się zdaje, że każdego przewyższają uzdolnieniami . . . . .“ Słowa te zasługują pod wielu względami tylko na śmiech. Było zupełnie zbyteczne brać w obronę przewodników, wszak trudno — zdaniem mojem — znaleźć zwolennika zasady „bez przewodnika“, któryby niedoceniał ciężkiej pracy przewodnika. Nie ten ostatni lecz „bujający na linie“ turysta są przedmiotem często zasłużonej nagany. Z prawdziwą natomiast przyjemnością czytamy artykuł tegoż autora: „Lyskamm-Punta Gnifetti“. Musimy przyznać, że dr. Jankovics — o ile się nie zapuszcza na pole polemiki — zajmuje jedno z najpierwszyoh miejsc w węgierskiej literaturze alpinistycznej. Bardzo interesujące są opisy wycieczek skalnych w okolicy Budapesztu dra R. Schwicker'a, specyalnie t. zw. „Kétágú“, szkoły wspinania się młodzieży budapeszteńskiej. J. Serényi w artykule „Sport narciarski na Węgrzech“ zdaje sprawę z rozwoju i obecnego stanu narciarskiego węgierskiego. Sumienna praca dra B. Szalay'a zatytułowana pod wpływem lokalnego patryotyzmu: „Główne góry naszej ojczyzny“ przenosi nas w południowe Karpaty. Pomijając szczegół, że nie południowe Karpaty, lecz Tatry należy uważać za najważniejsze góry Węgier (jak to udowodnił cyfrowo w tegorocznym roczniku D. Legányi), musimy tę pracę uznać za podstawową, omawiającą wspomniane góry według systematycznego podziału i podającą wyliczenie wszystkich szczytów i wzniesień. Należy wreszcie wspomnieć o artykule J. Déry'ego „Rozwój i moda“, który podaje bystrej krytyce niektóre objawy dzisiejszego alpinizmu. Ustępy, omawiające np. samotne chodzenie, trudne wyprawy i td. zdradzają zaraz, że autor nie jest turystą w dziesiejszem pojęciu. Natomiast zasługują na uwagę słowa, w jakich autor chłosta narowy występujące, jako objawy towarzyszące alpinizmowi.

Oto, co zasługiwało na podniesienie z bogatej treści „Turisták Lapja“. Pismo to zawiera ponadto wiele innych mniej lub więcej interesującysh artykułów, referatów w sprawach towarzystwa i t. d. *Gy. K.*

A Magyar si klub évkönyve 1908. Rocznik węgierskiego klubu narciarzy za I. rok spraw. Objawem coraz bardziej wzrastającego ruchu narciarskiego na Węgrzech jest klub narciarzy w Budapeszcie, którego działalność omawia rocznik redagowany przez dr. R. Schwickera i dr. J. Serényi'ego. Rocznik zawiera część sprawozdawczą opisy bardziej ciekawych wycieczek, wykaz wycieczek członków (zarówno letnich, jak narciarskich), wreszcie rubrykę spraw klubowych. *Gy. K.*

Z literatury węgierskiej. W nr. 8 „Nemzeti Sport“ (sport narodowy) ogłosił dr. J. Serényi serdeczne wspomnienie pośmiertne śp. M. Karłowicza.

W piśmie akademickiem „Egyetemi Lapok“ znajdujemy w n-rach 3 i 4 artykuł tatrzański „Ze wspomnień dwóch lat“ pióra G. Komarnickiego. Opisuje w nich przejście Małego Lodowego granią od Lodowej Przełęczy i samotną wycieczkę na Środkowy Szczyt Mięguszowiecki. Artykuł zdobią dwa interesujące zdjęcia J. Maślanki i A. Plöckl'a. — *rk.*

Neue Touren in der Hohen Tatra von Dr. A. v. Martin. Pod powyższym tytułem ukazał się świeżo w Roczniku Szwajcarskiego Klubu Alpejskiego obszerny i świetnie ilustrowany artykuł, jeden z najlepszych, jakie się kiedykolwiek o Tatrach w obcej literaturze ukazały. Drowi Martinowi wogóle zawdzięczać należy, że wyprowadził Tatry na arenę współczesnego alpinizmu. Najpoważniejsze publikacye niemieckie ostatnich lat podają jego prace o Tatrach. Ostatni artykuł w organie Szwajc. Klubu zarówno tematem swoim, jak i doborem zdjęć tatrzańskich wybija się na czoło wszystkiego, co po niemiecku o Tatrach napisano. Główną część artykułu zajmuje opis dwu wycieczek: na Szczyt Mięguszowiecki granią od Przełęczy pod Chłopkiem i na Jaworowy i Mały Jaworowy północnemi ścianami. Obie te zupełnie pierwszorzędne wyprawy interesująco opowiedziane wyrobią bezwarunkowo szacunek dla Tatr u tych, którzy uważają góry nasze za łagodne i potulne wzgórza ze wszystkich stron łatwo dostępne. Świetne też wyobrażenie o Tatrach dadzą załączone do artykułu ilustracye (13 obrazków), wykonane bez zarzutu, bądź to na osobnych kartonach jako fototypie, bądź też jako autotypie w tekscie. Wśród autorów tych zdjęć znajdujemy tylko dwa niepolskie nazwiska, na resztę złożyły się mistrzowskie widoczki pp. J. Barwińskiego, J. Chmielowskiego, M. Dudryka, dr. Z. Klemensiewicza, dr. St. Krygowskiego i J. Maślanki.

We wstępie znajdujemy krótki pogląd na Tatry pod względem alpinistycznym. Podkreślić należy wysoką objektywność dr. Martina, z jaką przyznaje, że w turystyce tatrzańskiej „bezwględnie dominujące stanowisko zajęli polscy taternicy, którzy rozwinęli w ostatnich

zwłaszcza latach niezmiernie żywą działalność" i że im przedewszystkiem zawdzięcza turystyka tatrzańska swój wybitny rozwój." —*rk.*

Grań Batyżowiecka i Szczyt Rumanowy. W n-rze. 788, z 20 czerwca br. „Oester. Alpenzeitung" umieścił J. Chmielowski w rubryce zatytułowanej „Turenberichte" sprawozdanie z trzeciego przejścia Batyżowieckiej Grani (patrz Taternik 1909 nr 3 str. 41) i z nowego zejścia ze Szczytu Rumanowego (patrz Taternik 1908, nr. 6, str 120). Autor nie podaje dokładnego opisu Batyżowieckiej Grani, lecz charakteryzuje jej piękność i trudności. Twierdzi, że jest to — jego zdaniem, bezprzecznie najpiękniejsza graniówka tatrzańska. Opisuje dokładnie owo charakterystyczne miejsce między Kaczym Szczytem a Kaczą Przełęczą. Odnośnie do trudności podnosi że owo miejsce jest najmniej eksponowane na całej grani(?), a przy racyonalnem użyciu liny zupełnie bezpieczne. Część grani między Kaczym Szczytem a Kaczą Przełęczą określa wbrew zdaniu pierwszych turystów wypowiedzianem w Taterniku 1908 str. 70 i G. Komarnickiego (patrz Taternik nr. 3. 1909) tylko jako „trudną". Pozatem uważa swoję drogę za „częściowo nową", ponieważ odbyta została dokładnie na krawędzi grani*).

Opis Rumanowego Szczytu jest skróconem powtórzeniem tekstu z Taternika (l. c.) —*rk.*

Schlusswort zur „Englisch-Affäre". Dyskusya w sprawie Englischa, którą można było uważać za skończoną po „Mystifikacyach w taternictwie" ogłoszonych przez R. Kordysa w Taterniku nr. 6 z 1907 r. i obszernem streszczeniu tegoż artykułu w Oestr. Alpenzeitung (numer 765) — jeszcze się toczy. J. Chmielowski ogłosił w nrze. 781 Oe. A. Z. (z 5 marca br.) nadesłane pod powyższym tytułem, w którem odpowiada na napaście Englischa ogłoszone w Zipser Bote jeszcze w 1907 r. P. Chmielowski dowodzi, że Englisch nieprawnie używał przez dwa lata tytułu doktora, oraz, że sprzedał w 1903 r. szereg nieswoich zdjęć fotograficznych wydawcy kartek widokowych. — Być może, że te szczegóły są do ogólnej charakterystyki osoby Englischa bardzo cenne nie możemy się jednak oprzeć wrażeniu, że dyskusya w ten sposób schodzi na drogę nic z taternictwem nie mającą wspólnego i w wysokim stopniu niesympatyczną. Redakcya Oe. A. Z. lepiej by zrobiła nie umieszczając omawianego „nadesłanego" zupełnie. *Σ.*

*) Wątpimy bardzo, czy drogę na ostrzu grani, którą poprzednicy niekiedy tuż poniżej obchodzili można nazywać „częściowo nową". Patrz zresztą cytowany artykuł G. Komarnickiego (str. 47): „Kopczyki naszych poprzedników wyprowadzały wprawdzie na południowe ściany szczytu, myśmy jednak zostali i tu na krawędzi grani, wspinając się wprost jej urwiskiem. Ten — jakby powiedział chciwy sensacyi snob turystyczny — »waryant« odznaczał się" i. t. d. (Red.)

Przygoda w Tatrach. Opowiadanie przez Adama Lewickiego, umieszczone w „Wieczorach Polskich" roczniku dla starszej młodzieży — jest opisem fantastycznym samotnej wycieczki na „Zamarłą Turnię" jednego z młodych członków studenckiego klubu „Czarnej szarotki".

Autorowi przyświecała widocznie przedewszystkiem myśl pedagogiczno-umoralniająca. Przestrzega młodzież przed zakładaniem klubu poza plecami profesora Biłżyna. A jako następstwo tej samowoli przedstawia nieszczęśliwy wypadek w Tatrach młodego Janka, który zachęcony złym przykładem poszedł sam w góry śladami swego kolegi. Zbłąkanemu turyście spieszy na pomoc z narażeniem własnego życia bohater tej opowieści. Lecz obaj wyczerpani spadliby niechybnie w przepaść, gdyby nie niespodziewana pomoc profesora Biłżyna (deus ex machina), który podaje im zbawczą linę.

W przeprowadzeniu tej myśli dostrzegamy pewną niekonsekwencyę. Jak bowiem pogodzić z owym odstraszającym przykładem wiadomość, że wszyscy młodzi członkowie klubu „Czarnej szarotki" wyszli cało z turnieju, polegającego na zdobyciu o własnych siłach niezwiedzonego dotąd szczytu tatrzańskiego? A i nasz bohater byłby niezawodnie osiągnął również swój cel wycieczki „Zamarłą Turnię", gdyby nie wołania o pomoc biednego Janka. Za ten czyn szlachetny, za poświęcenie swoich celów i ambicyi dla dobra drugiego — przyznaje prof. Biłżyn palmę pierwszeństwa bohaterowi opowiadania.

Zamiast tych starych jak świat nauk moralnych wolelibyśmy wyczytać w opowiadaniu zachętę młodzieży do poświęcania się i pielęgnowania jednego z najszlachetniejszych sportów. Nie słyszymy bowiem z ust młodych turystów ani jednego słowa zachwytu nad pięknością górskiej przyrody, — ani radości i czystej rozkoszy, jaką z pewnością odczuwają młode dusze, gdy znajdują się wśród czarów innego świata. Mamy żal do autora, że nie wykorzystał pod tym względem tak dobrej sposobności, lecz ograniczył się tylko na suchem wyliczeniu szczytów, które wskazuje bohater opowiadania młodemu Jankowi.

A jednak mimo tych braków należy się szczere podziękowanie Szan. autorowi, że wzbogacił naszą tak skromną nowelistyczną literaturę turystyczną swem opowiadaniem i skierował uwagę młodzieży na Tatry i taternictwo. Wrażenie opowadania, zresztą żywo i interesująco napisanego, podniosą liczne i przeważnie udatne zdjęcia tatrzańskie. *t. k.*

Z „Drukarni Udziałowej“, Lwow, Kopernika 20.